



JANUSZ KORCZAK

Moški, Joski i Srule


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JANUSZ KORCZAK

Moški, Joski i Srule

BARDZO KRÓTKI WSTĘP

Na ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie jest niski, stary dom z dużym podwórkiem. Na podwórku zbierają się dzieci, które mają wyjechać na wieś, a w starym domu mieści się Biuro Towarzystwa Kolonii Letnich¹.

Dzieci wyjeżdżają pod opieką dozorców² do różnych wsi i o każdej można by całą książkę napisać.

Opowiem wam teraz, co robili na kolonii w Michałowce³ chłopcy żydowscy. Byłem ich dozorcą, nic z głowy wymyślać nie będę — powtórzę tylko, com widział i słyszał.

Opowieść będzie ciekawa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przed dworcem dozorczy ustawiają chłopców w pary i prowadzą do wagonów.

Pociąg odchodzi dopiero za godzinę, a już dziesiątki kolonistów kręcą się po dworcu, bujają swymi płóciennymi workami i niecierpliwie oczekują, kiedy zaczniemy ustawiać ich w pary i odprowadzimy do wagonu.

Kto się spóźni, ten nie pojedzie na wieś, więc się pilnują i rodzice, i dzieci.

Wczoraj ustawialiśmy się parami na podwórku na Świętokrzyskiej, więc wiadomo, kto w grupie którego dozorczy będzie wywołany z kajetu⁴.

I przyglądają mu się uważnie: jaki on, dobry czy zły, wolno czy nie wolno będzie drapać się na drzewa, kamieniami ciskać w wieściorki i wieczorem hałasować na sali? Tak myślą, rozumie się, ci tylko, którzy już byli na kolonii.

Nie wiadomo jeszcze, dlaczego jedni chłopcy są czysto umyści i ubrani, a drudzy brudni i zaniedbani, dlaczego jedni rozmawiają głośno, rozglądają się wesoło i śmiało, a drudzy lękliwie tułają się do matki lub usuwają na stronę. Nie wiadomo, dlaczego jednych odprowadza matka i ojciec, i rodzeństwo, dają na drogę pierniki, a drugich nikt nie odprowadza i nic na drogę nie daje.

Za dwa, trzy dni, gdy się poznamy, o wszystkim już wiedzieć będziemy.

A tymczasem ustawiamy się powoli.

— Pierwsza para: Górkiewicz i Krause.

Nikt się nie odzywa.

— Nie ma — odpowiadają z tłumy.

I już ktoś prosi, aby na miejsce tego, który się nie stawił, zabrać na wieś jego dziecko, takie słabe i biedne. Bo nie wszystkie dzieci są wysyłane, bo słabych i biednych jest o wiele

¹Towarzystwo Kolonii Letnich — organizacja stworzona w 1882 r. przez Stanisława Markiewicza (1839–1911), lekarza, higienistę i działacza społecznego. Jej zadaniem była organizacja kilkutygodniowego wypoczynku na wsi dla ubogich miejskich dzieci (osobno dla dziewcząt i chłopców, a także dzieci chrześcijańskich i żydowskich). Siedziba Towarzystwa mieściła się na ul. Świętokrzyskiej 25 w Warszawie od 1904 r. [przypis edytorski]

²dozorca — tu: opiekun, wychowawca. [przypis edytorski]

³Michałowka — ośrodek wczasowy Towarzystwa Kolonii Letnich wybudowany w 1902 r. niedaleko Małkini w powiecie ostrowskim (przy linii kolejowej Thuszcz–Ostrołęka, ok. 3 godzin jazdy pociągiem od Warszawy) nad rzeką Brok (lokalna nazwa Broczysko). Składał się z czterech budynków: dwóch parterowych sypialni połączonych werandą, budynku gospodarczego i osobnej toalety. [przypis edytorski]

⁴kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

więcej niż miejsc na kolonii. Słońca i lasu by dla nich nie zbrakło, tylko brak Towarzystwu pieniędzy na zakup mleka i chleba.

— Druga para: Soból i Rechtleben.

— Jestem! — woła Soból i pcha się przez tłum energicznie, zarumieniony ze wzruszenia, staje uśmiechnięty i pytająco patrzy w oczy.

— Zuch Soból!... Powiedz prawdę: łobuz jesteś czy nie?

— Łobuz jestem — odpowiada ze śmiechem i zwracając się do siostry, która go odprowadziła, wydaje rozkaz: „Już dobrze, możesz iść do domu”.

Ośmioletni chłopiec, który pierwszy raz wyjeżdża sam na wieś, który potrafi się prze-
pchać przez tłum dorosłych i staje umyty czysto, uśmiechnięty, gotów do drogi, musi
być zuchem i miłym łobuzem. Tak też było. On najprędzej nauczył się słać łóżko, grać
w domino, nigdy nie było mu zimno, na nikogo się nie skarżył, budził się uśmiechnięty
i z uśmiechem zasypiał.

— Fiszbina i Miller starszy — trzecia para.

— Jest — odpowiedział ojciec Fiszbiną prędko, jakby się przestraszył.

Stali obaj blisko, musieli się bardzo pilnować, musiało ojcu bardzo na tym zależeć, by
dziecko wyjechało na wieś.

— Mały Miller i Ejno. Elwing i Płocki.

Tymczasem przychodzą spóźnieni.

Górkiewicz chciał całą noc nie spać, aby się nie spóźnić, a rano ledwo go matka do-
budziła i na wpół jeszcze śpiącego przyprowadziła na dworzec. On jeden z całej grupy
zasnął w pociągu w drodze.

— Ósma, dziewiąta, dziesiąta para.

Rozpoczyna się tłok, prośby, pożegnania.

— Nie rozchodzić się, bo zaraz idziemy.

I dzwonek.

Para za parą, grupa za grupą, przechodzimy przez dworzec, siadamy do wagonów. Kto
zaradny i energiczny, ten zajmuje najlepsze miejsce przy oknie i jeszcze uśmiechnie się do
rodziców na pożegnanie.

Dzwonek drugi i trzeci. Starsi śpiewają piosnkę kolonijną o lesie, wesołych chwilach,
które tak mile płyną na wsi. I pociąg rusza.

— Czapki trzymać mocno!

Zawsze któryś czapkę gubi w drodze. Taki już zwyczaj podróży na kolonie.

ROZDZIAŁ DRUGI

*Chłopcy oddają w wagonie pieniądze i pocztówki do schowania. Na wsi przebierają się w ko-
lonijne białe ubrania.*

Nie wychylać się! — Nie pchać się! — Nie śmiecić na podłogę!

W ciągu pierwszych paru dni chłopcy często słyszą przykre: „nie”, dopóki nie dowie-
dzą się, czego i dlaczego nie wolno. Potem coraz mniej zakazów, coraz więcej swobody.
Choćby chciał nawet dozorca, nie może tak przeszkadzać dobrze się bawić, jak mama, oj-
ciec, babcia, ciocia, a jeszcze nauczycielka lub guwerner⁵ w domu dzieci bogatych, czasu
mu zabraknie na uwagi, rady i napomnienia. Toteż dzieciom weselej na kolonii niż ich
bogatym rówieśnikom w pięknych badach, gdzie każdemu małemu dziecku tylu doro-
słych przeszkadza wesoło się bawić.

Tymczasem pociąg z hukiem przeleciał po sąsiedniej linii. Przestraszyli się, odskoczyli
od okien, a potem śmiech, uciecha.

Jednemu bułka z masłem spadła na podłogę — znów radość.

— O, jaki mały koń — wołają i wszyscy tłoczą się do okien, by spojrzeć na niezwykle
zjawisko.

Jest to zwyczajny duży koń, tylko stoi daleko na łące i dlatego wydaje się małym.
Poznali swój błąd, gdy het w polu zobaczyli małych ludzi i małe domy.

Przystanek. Znów śpiewają i powiewają chustkami.

⁵guwerner (z fr. *gouverneur*) — nauczyciel. [przypis edytorski]

I rozzwiania się śmiech kolonijny — czarodziejski śmiech, który leczy pewniej niż najdroższe lekarstwa i wychowuje lepiej niż najmądrzejszy nauczyciel.

— Chłopcy, pocztówki i pieniądze oddawać. — Pierwszy w kajecie — Górkiewicz. Ile masz pocztówek?

Oddaje do schowania dziesięć groszy i cztery karty pocztowe: będzie na nich co tydzień donosił rodzicom, że jest zdrow i dobrze się bawi.

Bracia Kruki mają razem dwadzieścia groszy. Każdy z braci otrzymał po cztery grosze od rodziców na drogę i po sześć od dziadka.

— Proszę pana, prawda, że kartofle w ziemi rosną?

— Ano, prawda. Bo co?

— Bo on przez okno pokazał jakieś liście i mówi, że to kartofle. A przecież kartofle w ziemi rosną, więc nie można ich widzieć.

— Później sami zobaczycie, jak rosną kartofle — teraz nie ma czasu... Frydman, ile masz pocztówek?

— Tylko dwie: rodzice powiedzieli, że dwie dosyć. Pieniędzy nie ma wcale.

Frydman skłamał: ukrył posiadanego czworaka⁶, którego mu starszy brat dał przy pożegnaniu.

Ojciec Frydmana wiele podróżował: był w Paryżu i Londynie — nawet do Ameryki miał jechać. Ale nigdzie nie znalazł szczęścia dla rodziny i wrócił znów do kraju, by wiele bułek upiec dla innych, zanim na bochenek chleba dla własnych dzieci zarobi. I nie wiadomo, w którym z wielkich miast nauczył się mały syn piekarza nie dowierzać ludziom i nie powierzać im miedzianych czworaków. Dopiero w parę dni później oddał na przechowanie swój niewielki majątek — i często zapytywał dla pewności: „Prawda, że pan ma moje cztery grosze?”

— Czy jeszcze daleko? — pytają się dzieci, bo spieszo im do lasu, do rzeki, do łąki, o których opowiadają tyle dziwów ci, którzy już w zeszłym roku byli na kolonii.

Na kolonii jest ogromna weranda; cóż to być może takiego — weranda? — Dla wszystkich stu pięćdziesięciu są tylko cztery pokoje — cóż to za wielkie sale być muszą?

Przejeżdżamy przez most⁷. Most jest zupełnie inny niż ten, który łączy Pragę z Warszawą. Ale ładniejszy, o — ładniejszy znacznie.

— Chłopcy, wysiadamy. Wszyscy macie worki i czapki?

— Mamy — odpowiadają chórem.

Na dworcu oczekuje już dwanaście wozów drabiniastych, wysłanych słomą i sianem.

— Ostrożnie na wozach, żeby któremu noga nie dostała się między koła.

— Ja będę pilnował, proszę pana.

— Dobrze, pilnuj. — Jazda!

Słońce wita bładą gromadkę. Dziękujemy ci, dobre słońce i lesie zielony, i łąko wesoła. Dziękujemy wam, dzieci wiejskie, że wybiegacie z chat i uśmiechem pozdrawiacie nasze wozy wysłane sianem.

— Czy daleko jeszcze, proszę pana?

— O, tam czernieje nasz las, o, już widać i polankę — o, już i młyn — i czworaki dworskie, i wreszcie — nasza kolonia.

— Wiwat! Niech żyje kolonia Michałówka! — A więc tak wygląda weranda?

Wypijają po kubku mleka — i do roboty.

Myją się po podróży, ubierają w białe kolonijne ubrania, a najbardziej śmieszają ich płócienne czapki. Zabawne czapki, podobne do tych, jakie noszą kucharze. Teraz wszyscy wyglądają jednakowo. A malcy dumni są z otrzymanych szelek.

— Proszę pana, kiedy dostaniemy chustki do nosa?

— Chustki jutro, a teraz pakować własne ubrania do worków, worki na plecy — i marsz — do pakamery! — Raz, dwa — raz, dwa. — Tam schowa się worki na cztery tygodnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

⁶czworak — moneta miedziana o wartości 4 groszy. [przypis edytorski]

⁷most — kolejowy most na Bugu przed Małkinią, zwany warszawskim. [przypis edytorski]

Lewek Rechtleben tęskni. Lewek Rechtleben płacze.

Takie wszystko dziwne i nowe, tak niepodobne ani do Gęsiej, Krochmalnej, ani Smocznej ulicy.

Dom parterowy w lesie, ani podwórka, ani rysztocka. Drzewa jakieś dziwne z kolcami. Łóżka stoją nie przy ścianie, a rzędami, nie w małym pokoju, a w dużej sali, jak ta, gdzie wesela się odbywają. Na obiad była dziwna zielona zupa, a później mleko. Czapki z płótna i szelki do spodni. Wieczorem nogi się myje w długim blaszanym korycie. Trzeba spać samemu w łóżku, poduszka słomą wypchana. I jeszcze okna pootwierane: złodziej wejść przecież może. A mama i tata daleko.

I Lewek Rechtleben pierwszego zaraz wieczora się rozplakał.

Niedługo trwał płacz, bo jakże nie zasnąć po dniu tak pełnym nadzwyczajnych przygód?

Ale i nazajutrz, gdy po śniadaniu było trochę wolnego czasu, Lewek znów zaczął płakać.

— Do domu!

Dlaczego chce jechać do domu? — Może głodny? — Nie, nie jest głodny. — Może mu zimno? — Nie, nie jest mu zimno. — Może sam spać się boi? — Też nie. — Może w domu ma więcej zabawek? — Nie, wcale nie ma zabawek.

Lewek wie, że tu jest dobrze, bo mu kuzyn i chłopcy na podwórzu opowiedzieli, ale w domu jest mama.

A więc dobrze: Lewek pojedzie do domu, ale dopiero jutro, bo dzisiaj jest sobota, a w sobotę jeździć nie wolno⁸.

I w niedzielę nie mógł pojechać, bo nie było bryczki. Ale jutro już na pewno pojedzie.

W poniedziałek Lewek nie płakał, ale chciał jeszcze jechać do domu.

— Dobrze, po obiedzie pojedziesz, ale mama się zmartwi, gdy wrócisz.

— Dlaczego mama się zmartwi?

— Bo za drogę będzie musiała zapłacić.

A ojciec akurat nie robi, bo majster wyjechał — i mama chora, bo się mała siostra urodziła i doktor dużo kosztował.

Lewek westchnął ciężko i zgodził się grać w domino.

A potem, wieczorem, znów zaczął trochę płakać, bo przypomniał sobie, że miał na stacji nowy kapelusz, który ojciec chciał zabrać do domu. Ale ojciec pewnie zgubił nowy kapelusz, a kapelusz pół rubla kosztował.

I podyktował list do ojca, że nie płacze, że nie chce wrócić do domu, że wcale nie tęskni, bo chce być zdrow, żeby tatuś nie miał zmartwienia. I co się stało z kapeluszem?

Ojciec odpisał, że kapelusza nie zgubił i przyniesie go na stację.

Lewek dużo razy brał list i oddawał znów do schowania, i przestał zupełnie wybierać się do domu — i coraz mu lepiej wieś się podobała.

Raz jeszcze miał Lewek zmartwienie: zgubił chustkę do nosa. Jakże jej nie miał zgubić, kiedy tyle szyszek i kamieni nosił w kieszeni? Chustka się prędko znalazła.

I jeszcze raz jeden strapiony był, ale teraz już z własnej winy: gwizdał i przytykał palcami wieczorem na sali. Kiedy nazajutrz przy śniadaniu pytano, kto wczoraj gwizdał na sali, Lewek pierwszy się przyznał.

— I przytykałem palcami — dodał i pokazał, jak przytykał.

Lewek opalił się na słońcu, przybyło mu całych trzy funty⁹ na wadze, a kiedy wreszcie wracał do domu, obiecał, że na przyszły rok znowu przyjedzie i wtedy płakać nie będzie ani razu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Forteca. Jajecznicza. Burza. Straż ogniowa.

⁸w sobotę jeździć nie wolno — w tradycji żydowskiej sobota jest dniem świątecznym (szabas), podczas którego nie pracowano ani nie wykonywano niektórych czynności, m.in. nie podróżowano. [przypis edytorski]

⁹funt — jednostka wagi obowiązująca dawniej w Polsce (ok. 400 g). [przypis edytorski]

Gdzie jest stu pięćdziesięciu chłopców, tam musi być wojna. Gdzie ma być wojna, tam musi być forteca.

Z dawnej fortecy za lasem ślad ledwo pozostał, bo była niska i mała. Teraz powstaną zupełnie nowe cztery boczne forty, wysoki wał dla szpitali, plac dla wziętych do niewoli i okopy pod obóz. A dwa główne wały, broniące dostępu do fortecy, muszą być wysokie przynajmniej na cztery łokcie.

Mamy dwanaście łopat. Kopacze zrzucają bluzy, zawijają rękawy koszuli i biorą się do pracy. Co dziesięć minut zmiana robotników.

Korcarz, siłacz, ze starszym Presmanem stają przy pierwszym forcie; Herzman z Frydensonem i Płocki z Kapłanem we dwie łopaty pracują przy drugim; Grozowski, Margules, Raszer i Szydłowski kopią fortecę.

Chłopcy młodszy i słabszy budują mniej ważne boczne forty. Beznogi Wajnrauch o kuli ma dozór nad lewą częścią terenu, pilnuje, żeby się Bieda nie pobił z kolegami. Bo i o to przy pracy nietrudno.

Wozy zbudował nam Józef: pociął deskę na kawały, wyborował otwory i poprzecigał sznury; wozy niepiękne, ale mocne. A gospodyni, dobra pani Papiesz, dała kilka starych kubłów do piasku.

Wszystkie szyszki idą tymczasem do wspólnego dołu, później rozdzielone będą na dwie równe części, dla obu stron walczących.

Przychodzą ze wsi: mały Jasiek z Zochą i Mania z jasnym Stachem. Pomagają szyszki zbierać.

— Raz dwa... Raz dwa...

Gdzie praca idzie zbyt wolno, tam przybywa na pomoc nowa partia robotników.

Trąbka: upłynęło dziesięć minut — więc druga zmiana bierze łopaty.

Do ubijania ziemi służą kamienie. Kierunek, długość i szerokość rowów wskazują sznurki przymocowane wbitymi w ziemię kółkami. Długa deska służy do wyrównania wałów: kładzie się ją na płask i posuwa to w górę, to na dół; deska kraje piasek jak ostry nóż. Resztę udepcze się bosymi nogami.

Dziś dopiero początek roboty, która trwać będzie ze dwa tygodnie.

— Raz, dwa...

Łopaty coraz równiej wznoszą się i opadają.

— Stój! — Spoczynek.

Jedzie ostatni transport kamieni, sypią się do dołu ostatnie garście szyszek — amunicji. Teraz chłopcy wkładają znów bluzy, zasiadają wokoło fortecy i słuchają ciekawej opowieści o małym Włochu, z dobrze wszystkim znanej książki *Amicisa*¹⁰.

Godzina czwarta się zbliża. Robotnicy ustawiają się parami i z narzędziami pracy na ramionach pod takt wesołego marsza wracają na posiłek do domu. Dyżurni wynoszą na werandę miski z wodą do rąk i ręczniki. Wszystkim bez wyjątku smakuje podwieczorek.

Jakże nie ma smakować? Toż dziś jajecznicę z kartoflami.

Jedni zgarniają na bok jajecznicę, naprzód zjadają mniej smaczne kartofle, jajecznicę zostawiają na deser.

Drudzy, mniej przezorni, zjadają naprzód jajecznicę, a później kartofle. Inni wreszcie twierdzą nie bez słuszności, że najlepiej zmieszać i jeść razem, wówczas bowiem kartofle smakują tak samo, jak czysta jajecznicę. Każda metoda jedzenia ma swych zwolenników i przeciwników — i dlatego prowadzą się ożywione spory podczas podwieczorku. Czasem przoszony jest o rozstrzygnięcie sporu dozorca, który jako człowiek starszy i doświadczeńszy na pewno wie lepiej, jak należy jeść jajecznicę z kartoflami, czasem spór przechodzi w kłótnię, a jeśli mam zupełnie być szczery, zdarza się, że ktoś chce przekonać sąsiada o słuszności swych poglądów za pomocą pięści. Dziwne bowiem zwyczaje panują na kolonii.

A wieczorem nadciągnęła burza.

Po błyskawicy uderza grzmot; las odpowiada groźnym pomrukiem. Szyby w oknach sypialni drżą z niepokoju, wicher bije w nie mocno grubymi kroplami deszczu.

¹⁰*De Amicis, Edmondo* (1846–1908) — włoski pisarz, autor książek dla młodzieży. Do jego najslawniejszych dzieł należy utwór *Serce* z 1886 r. [przypis edytorski]

Chłopcy powinni się bać: burza w lesie jest straszna. A jednak usypiają spokojnie, wiedzą, że na kolonii nic złego stać się nie może. Może ten i ów drgnie pod odgłos mocnego grzmotu, ale usypiają, znużeni pracą i walną naradą nad tym, jak jeść należy, razem czy osobno, kartofle i jajecznicę.

A nazajutrz znów słońce świeciło.

Ulewa obniżyła, ale i umocniła wały. Najmłodszy też otrzymują łopaty i kopią pod dozorem starszych. Więc Korcarz dozoruje małego Wajca, Froma i Fiszbina; Frydenson kopie z kaszlącym Najmajstrem. Przybywa na pomoc Rotberg i Kulig.

Z Zaręb Kościelnych¹¹ przychodzi matka z bladym chłopcem, który uczy się na rabin¹². Chce się poradzić o zdrowie syna, bo słyszała, że na kolonii słabe dzieci stają się mocne. Dziwi się kobieta, że chłopcy tak ciężko pracują przy budowie fortecy, a jednak są tak weseli.

A weseli są koloniści, bo śpią na słomie, bo piją mleko, i las tak pachnie, i słońce świeci...

Kiedy po tygodniu roboty ziemne żywo posunęły się naprzód, trzeba było pomyśleć o budowie kolei. Józef dał najgorszą miotłę i najstarsze grabie.

Plant¹³ kolejowy, równo wysadzony kamieniami i patykami, ciągnie się aż do szosy. Sikora jest dróżnikiem, bo chory na serce i biegać nie może; lokomotywą jest Cudek Gewisgold, bo świszczuje jak prawdziwy parowóz.

Nagromadzono dużo budulca, więc w obawie pożaru organizuje się straż ogniowa.

Kaski strażackie robią się z chustek do nosa.

Oddział każdy otrzymuje chorągiewkę i trąbkę. Jest i drabina, i taczka, i sznury, a że węża gumowego brakło, więc zastąpiono go długim korzeniem.

Pan Mieczysław zbudował głęboki piec w polu z wysokim kominem z kamieni. Należono suchego drzewa, urządzono próbę pożaru.

Pięć oddziałów straży ustawia się w różnych miejscach. Każdy oddział pod drzewem, na drzewie — czatownia.

Już dym się unosi z komina, gore suche drzewo. Pędzi oddział Praski, Mirowski, Nalewkowski¹⁴, rozstawiają się topornicy, jedzie zaprzężony w czterech ognistych chłopców pierwszy kubel wody.

A policja rozpycha gapiów, wołając:

— Nie pchać się... Nazad... Czego wam?

Zupełnie jak na prawdziwym pożarze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sąd kolonijny. Sprawy cywilne i karne. Wyroki sądowe.

— Proszę pana, on się pcha — sypie piasek — zabrał łyżkę — nie daje grać — bije się — przeszkadza. — Proszę pana!

Gdzie jest stu pięćdziesięciu chłopców, tam musi być codziennie trzydzieści kłótni i pięć bijatyk; gdzie są spory i bójki, tam powinien być sąd; sąd musi być sprawiedliwy, cieszyć się powagą i zaufaniem. I taki właśnie sąd mieliśmy w Michałowce.

Sędziów jest trzech: przez głosowanie wybrali ich spośród siebie chłopcy. Co tydzień głosowanie się powtarza, a jego wyniki podaje tabelka:

Otrzymał głosów:

¹¹*Zaręby Kościelne* — wieś położona w powiecie ostrowskim (woj. mazowieckie), niedaleko której mieścił się ośrodek kolonijny Towarzystwa Kolonii Letnich „Michałowka”. [przypis edytorski]

¹²*rabin* (z hebr.: mistrz, nauczyciel) — religijny przywódca w judaizmie zajmujący się interpretacją prawa żydowskiego i orzecznictwem w sprawach rytualnych. Każda społeczność wybiera swojego rabina na podstawie jego wiedzy i autorytetu. [przypis edytorski]

¹³*plant* — teren wydzielony pod tor, nasyp i grunt do niego przylegający. [przypis edytorski]

¹⁴*oddział Praski, Mirowski, Nalewkowski* — oddziały warszawskiej Straży Ogniowej powołanej w 1834 r.: oddział I przy ul. Nalewki 3, oddział IV na Chłodnej 3, ulokowany w byłych koszarach Mirowskich, i oddział V na Pradze (Brukowa róg Szerokiej, obecnie Stefana Okrzei). [przypis edytorski]

Nazwisko kandydata	W pierwszym tyg.	W drugim tyg.	W trzecim tyg.	W czwartym tyg.
Presman...	4	13	25	17
Płocki...	—	6	16	17
Frydenson...	10	13	21	16
Kaplan...	10	5	10	1
Margules...	10	—	—	11
Grozowski...	6	11	—	—

Dopiero w trzecim tygodniu, jak widać, wybrali chłopcy sędziów, z których byli zadowoleni, bo zostawili tych samych na czwarty tydzień.

Sąd

Sąd odbywa się w lesie albo na werandzie, sędziowie siedzą na krzesłach przy stole, oskarżeni i świadkowie na długiej ławce, a publiczność stoi za ławką. Woźni pilnują porządku. Dozorca, który jest i prokuratorem-oskarżycielem, i adwokatem-obrońcą, zapisuje wszystko do grubego kajetu w czarnej oprawie. Po sprawie sędziowie idą na naradę, a ogłoszenie wyroku oznajmia dzwonek.

*

Fiszbin rzucił kamieniem w Olszynę i trafił go w nogę, ale niezbyt mocno. Olszyna płakał jednak.

— Czy rzuciłeś w Olszynę kamieniem?

— Nie.

— Kiedy ludzie widzieli, że Olszyna trzyma się za nogę i płacze.

— Nieprawda, nie rzuciłem, i Olszyna nie płakał.

Następuje przesłuchanie świadków. Sąd uprzedza, że kłamstwo surowo jest karane. Ustalono czas i miejsce przestępstwa, ilość i nazwiska świadków.

— Rzuciłeś kamień?

— Nie.

Ponowne dokładne przesłuchanie świadków stwierdza, że Fiszbin zupełnie bez powodu rzucał w Olszynę szyszki i małe kamyki.

— Czy rzucałeś w Olszynę szyszkami?

— Tak, szyszkami rzucałem.

— Dlaczego?

— Bo miałem dużo szyszek i nie wiedziałem, co z nimi zrobić.

— Dlaczego nie rzuciłeś ich na ziemię?

— Bo mi było szkoda. (Publiczność się śmieje).

— Czy między szyszkami na pewno nie było kamieni?

— Nie wiem.

Sąd wziął pod uwagę młody wiek Fiszbina i skazał go tylko na 10 minut kozy¹⁵.

*

Czasem skrzyły obie strony, jak widać z następującej sprawy. Spór wynikł podczas rannego ślania łóżek na sali.

— Więc było to tak: ja słałem łóżko, a on mnie pchnął. Ja jego odepchnąłem, a on mi rzucił poduszkę. Ja podniosłem poduszkę, a on mnie uderzył.

— Nieprawda! Ja słałem łóżko, a on kopnął moją poduszkę. Ja jego pchnąłem, a on mnie uderzył pierwszy.

— Ach, ty kłamczuchu!

— To ty kłamczuch.

W sądzie nie wolno się kłócić.

— Czy zrzuciłeś poduszkę?

— Bo on pierwszy...

— Proszę odpowiedzieć: tak czy nie?

¹⁵koza (daw.) — kara polegająca na zatrzymaniu ucznia w szkole po lekcjach. [przypis edytorski]

— Tak, ale on pierwszy.
— Są świadkowie?
— Wszyscy widzieli.
— Wszyscy widzieć nie mogli. Prosimy o nazwiska dwóch świadków. Kto stał blisko i widział?
— Nie wiem.
— Czyś go pchnął?
— Jak ja stałem i słałem łóżko...
— Wiemy. Proszę odpowiadać krótko: tak czy nie?
— Nie.
— Ach, ty kłamczuchu.
— Proszę o spokój. W sądzie nie wolno się klócić.

Łóżka obu zwaśnionych stoją obok siebie. Kto kogo popchnął pierwszy, umyślnie czy nieumyślnie, wobec braku świadków ustalić nie sposób. Czy więc nie lepiej się pogodzić, niż czekać na wyrok, który zapewne potępi obie strony, skoro przyznają się do bójki?

Rozumie się, że w tych warunkach lepiej się pogodzić.

*

A oto krwawa rozprawa, gdzie rzecz jasna, o zgodzie mowy już być nie może.

Protokół lekarski głosi:

„Oskarżony Flaszberg ma prawy policzek spuchnięty i siedem śladów zadrapań: jeden koło nosa, jeden koło ucha, trzy na policzku i dwa na brodzie. Prócz tego na lewej ręce dwa zadrapania.

Oskarżony Zaksenberg ma siniak na czole wielkości czterech groszy, nos podrapany i na lewym policzku zadrapanie długości dwóch centymetrów”.

Początku walki nikt nie widział, a przebieg opisali liczni świadkowie.

Obie strony bardzo się chciały pogodzić, ale że były tu krwawe ślady bójki, obaj za pańnicy odsiedzieli po minut piętnaście aresztu kolonijnego.

*

Sąd kolonijny rozważa też sprawy, gdzie oskarżał sam prokurator-dozorca.

Oto na ławie przestępców zasiadają: Pływak i Szydłowski.

Pływak i Szydłowski poszli daleko za kolonię w pole, nie słyszeli dzwonka i spóźnili się na śniadanie.

— Czy nie wiedzieli, że za las kolonijny sami wychodzić nie mają prawa, bo mogą zabłądzić, utopić się w rzece, krowy mogą ich pobość lub psy pokąsać? — Czy nie wiedzieli, że na śniadanie nie wolno się spóźniać, bo po śniadaniu mamy iść do kąpieli? — I po co poszli za las, kiedy tu mają dość miejsca do zabawy?

Pływak i Szydłowski poszli kwiaty zbierać.

— Panowie sędziowie! Chłopcy ci zawinili niewątpliwie. Na śniadanie, obiad, podwieczorek, kolację nie można się spóźniać, nie może stu chłopców czekać na jednego lub dwóch. Nie możemy każdego szukać z osobna w lesie i za nos ciągnąć do stołu. Dlatego jest dzwonek; i dzwonka pilnować się trzeba. Należy więc ich ukarać, a jednak... Pływak i Szydłowski poszli za las kolonijny po kwiaty. Na wsi wolno kwiaty zrywać. Tak ich to ucieszyło, że zapomnieli o jedzeniu; Pływak jest pierwszy raz na kolonii, Szydłowski był w Ciechocinku, ale tam też kwiatów jest mało. Więc może ten raz pierwszy im przebaczyć?

I sędziowie po krótkiej naradzie uniewinnili obu oskarżonych.

*

Najprzyjemniej hałasować wieczorem, gdy leży się już w łóżku. Może i nie przyjemnie nawet, bo spać się chce, oczy same kleją się do snu. Ale czemu nie spróbować, kiedy nie wolno?

Sąd, Dziecko

„Jeżeli zabroniono surowo, a ja gwizdnę głośno, krzyknę, zamiauczę lub zapieję jak kogut, dozorca będzie się złościł, a wszyscy będą się śmieli. Sala wielka, na sali ciemno, łóżek trzydzieści osiem, dozorca nie dowie się, kto gwizdnął. A ja jutro będę się chwalił: widzicie, jaki jestem odważny i mądry. Hałasowałem najwięcej, a on mnie nie złapał”.

Tak myślą chłopcy, dopóki się nie przekonają, że dozorca nie złości się nigdy, że wcale nie zechce wysledzić, kto hałasował, a dokazywać wieczorem zabrania, boć muszą spać dziewięć godzin, aby o szóstej rano wstali wyspani i weseli.

Wczoraj wieczorem był hałas na sali. Dziś każdy po kolei staje przed sądem, by odpowiedzieć na pytanie, czy krzyczał, piał, szczekał, miauczał lub klaskał w ręce.

Wszyscy odpowiadają przecząco, wszyscy się wypierają. Tylko dwóch złapał wczoraj dozorca na gorącym uczynku i ci dwaj, Wajc i Prager, zasiadają na ławie oskarżonych.

— Jak ich ukarać, panowie sędziowie? Kara być musi surowa. Tacy dwaj chłopcy nie tylko sami wybijają się ze snu, ale i innym spać przeszkadzają. Wina ich duża, nawet bardzo duża, więc jak ich mamy ukarać? Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy zadać inne, jeszcze ważniejsze: czy wczoraj na sali hałasowali tylko ci dwaj — Wajc i Prager? Nie, było ich znacznie więcej.

Prokurator rozłożył na stole plan sali i mówi bardzo powoli:

— Hałas był koło okna, gdzie stoją łóżka: Kapłana, Biedy, Płockiego i Szydłowskiego. Hałas był w środkowych rzędach, gdzie leżą: Wajnrauch, Grozowski, Stryk, From i Zawoźnik.

Hałas był koło okna w pierwszym rzędzie, gdzie jak widać z planu, śpią: Flaszenberg, Fiszbín, Rotkiel i Plywak. Śmiano się i klaskano w ręce, gdzie stoją łóżka: Altmana, Lwa, Wolberga i Adamskiego, a wreszcie gwizdał ktoś tam, gdzie śpią: Najmajster, Zaksenberg i Presman. Pytaliśmy się wszystkich, nikt się nie przyznał.

Tu prokurator zamilkł. Wielu spośród publiczności pospuszczało oczy ku ziemi. Zaczzerwienił się nawet jeden z sędziów, gdy usłyszał swe nazwisko podczas przeglądu planu sypialni.

— Dlaczego tylko Wajca i Pragera udało się wczoraj zauważyć? Bo nie umieli się ukryć. Dlaczego oni dwaj tylko nie umieli się ukryć, gdy ukryło się tylu innych? Bo nie są łobuzami, albo są małymi i niedoświadczonymi łobuzami, albo też nie wiedzieli, jak bardzo zabronione są krzyki wieczorne w sypialni. Czy mamy więc prawo karać tych mało winnych, gdy winniejsi od nich, bo mądrzejsi, i winniejsi, bo skłámali przed sądem — pozostaną bez kary? Zawinili wszyscy, cała sala, wszyscy trzydziestu ośmiu, bo i ci także, którzy słysząc, że sąsiad hałasuje, nie kazali mu się uciszyć. Proponuję więc, sędziowie, aby Wajca i Pragera uniewinnić, a całą grupę ukarać: Grozowski nie będzie dziś wieczorem grał wam na dobranoc na skrzypcach.

Długo sąd się naradzał, a wyrok ogłosił:

„Wajca i Pragera uniewinnić. Grozowski niech dzisiaj gra, bo hałas się już nie powtórzy”.

I dotrzy mali słowa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ranek. Złe i dobre krany. Ślanie łóżek i przylepki.

Bywało, że jakiś niezwykły wypadek budzi całą salę od razu, w jedno mgnienie oka. Na przykład przez otwarte okno wpadł nieostrożny wróbel lub się mysz polna zabląkała. Któż by spać się ośmielił wobec tak ważnego zdarzenia? Wszystko, co żyje, skacze przez łóżka, na okna, odbywa się polowanie. Jednakże zdarza się to wyjątkowo tylko.

Zwykle na kilkanaście minut przed szóstą cichy szmer zwiastuje, że sala się budzi — i jeśli dozorca spojrzy przez okno swego pokoju na salę, choćby nie miał zegarka, wie, że czas wstać.

W rogu sali zebrała się starszyzna grupy i żywo rozprawia na temat zawieszony kartki z planem dnia, a więc kto jest dziś dyżurnym, kto ma po śniadaniu przyjść na opatrunek,

bo przy palancie¹⁶ nogę sobie zadrapał; dalej: kąpiel, próba wyścigów, spacer do olszynki, pisanie listów do domu.

Ktoś przy oknie przygląda się kwiatom: czy przez noc urosły. Inny, siedząc w łóżku, uderza krzemieniem o krzemień i dziwi się, że iskier nie ma, a sąsiad go poucza, dlaczego tak się dzieje. Paru chłopców goni się między łózkami, starając się czynić to jak najciszej. Wreszcie któryś krzyknie: „Nauczyciel patrzy!” — i wszyscy dają nurka do łóżek.

I rano nie wolno hałasować na sali, ale nie wolno mniej znacznie, bo i tak za kilka minut wstać będzie trzeba.

Wielu już pod kołdrą pospuszczało do pasa koszulę, by na pierwsze hasło wyskoczyć żywo i zająć najlepszy kran w umywalni.

Najlepsze z dziesięciu są środkowe krany, z dwóch ostatnich woda leci zbyt małym strumieniem, a z dwóch pierwszych bije zbyt mocno i pryska. A woda zimna, studzienna.

— Pierwszy rząd, wstawać!

Nie ma takiego, który by się ociągał. Biegną, tupiąc głośno bosymi nogami, czasem się który poślizgnie na kamiennej podłodze umywalni, wszyscy się śmieją i on się śmieje.

— Proszę pana, on zabrał mydło.

— Chcesz go podać do sądu?

— Nie.

Spieszą się, bo drugi rząd niecierpliwie czeka kolei i tyle jeszcze pracy przed pierwszym śniadaniem.

— Drugi rząd, wstawać!

Spieszą się, bo Józef nie lubi, gdy dużo wody wychodzi, a trzeba żyć z nim w zgodzie, bo grabie i miotłę pożycza.

— Trzeci rząd, wstawać! — Głowa, szyja, uszy, nos i oczy. Kto się źle umyje, będzie musiał wrócić na poprawkę.

Trzeci rząd biegnie do kranów, drugi wyciera się i ubiera, pierwszy łóżka ściela.

Słanie łóżek — niełatwa to sprawa. Trzeba strzepać prześcieradło, rozruszać słomę w sienniku, równo położyć kołdrę, na wierzchu lekko oprzeć poduszkę, a ręcznik gładko zawiesić na poręczu. Każdy stara się wykonać to najpiękniej, by móc zapytać się z dumą:

— Proszę pana, a moje dobrze?

Młodszym pomaga dyżurny; tylko mały Adamski gardzi pomocą i w nagrodę za sumienną pracę zostaje ręcznikowym dyżurnym.

I tu przy slaniu łóżek, jak i przy myciu, zawsze ktoś komuś przeszkodzi i po karku oberwie.

— Proszę pana, on mnie bije.

— Chcesz go podać do sądu?

— Nie.

— To jazda na werandę.

Rano są wszyscy w dobrym humorze, więc chętnie przebaczą swym wrogom.

Sala pustoszeje, zaludnia się weranda.

Prędko modlą się chłopcy, niektórzy może zbyt szybko przewracają kartki modlitewników — „syderów”¹⁷. Ale Bóg wyrozumiały jest dla dzieci kolonii, nie gniewa się o to.

Dzwonek.

— Proszę pana, dziś ja pierwszy dostaję przylepkę.

Z całego chleba przylepki są najsmaczniejsze, dlatego chłopcy dostają je po kolei.

Szkoda, ach szkoda, że chleb ma dwie tylko przylepki.

Chłopcy siedzą przy stołach, dyżurni roznoszą mleko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kąpiel. Pisklęta, bocian i tatarak. Głupi człowiek. Marzenia o wędce i palant.

¹⁶palant — gra, w której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny podbijają kijem małą piłkę gumową. [przypis edytorski]

¹⁷syder, właśc. sidur (z hebr. sidur: porządek) — zbiór modlitw codziennych. [przypis edytorski]

Idziem, idziem do kąpieli,
Wrócim czysti i weseli
(*powtórzyć:*)
Lewą, prawą —
Dalej żwawo —
Idziem wszyscy wraz.

Tak śpiewają chłopcy, idąc parami przez polankę koło czworaków, przez podwórze dworskie, przez drogę między ogrodem — aż na łąkę koło młyna — do rzeki.

Woda, mydło niechaj żyje.
Umyjemy ręce, szyję,
(*powtórzyć:*)
Słońko grzeje,
Wiatr nie wieje —
Do kąpieli czas.

Duże, jasne, dobre słońce wsi polskiej patrzy z łagodnym uśmiechem na długi sznur dzieci, słucha ich śpiewu i nie pytając się, kto one, skąd przyszły, gładzi i rumieni złotymi promieniami ich blade twarze.

Wstyd się lękać zimnej wody;
Musi zuchem być, kto młody,
(*powtórzyć:*)
Jak ta rybka,
Zwinna, szybka,
Buch do wody, buch!

Jedna kąpiel — to tysiąc śmiechów i tysiąc czarów — sto ciekawych widoków i dzieś sięć co najmniej przygód.

— Ooo, proszę pana — co to?

Ba, cudowne zjawisko: kura z piskletami. Kto nie był jeszcze na wsi, widzi je po raz pierwszy.

— Ach, cóż byłoby za szczęście złapać jedną taką śmieszoną żółtą kurkę i trochę potrzymać. Ale dozorca nie pozwoli — ten nieznośny, nudny dozorca.

Więc przynajmniej obejrzyć z bliska, dokładnie. I pary się rozbiegają.

— Proszę pana, on nie idzie w parze.

— Chcesz go podać do sądu?

— Nie.

Idziemy dalej.

— Proszę pana, co to?

Ba, drugie cudowne zjawisko: gniazdo bocianie na kole i sam gniazda gospodarz — bocian.

Takiego dużego ptaka chłopcy nie widzieli jeszcze: większy od indyka.

— To nie ptak, to balon — poucza któryś.

A teraz strach: mijamy się na wąskiej drodze z krowami. Codziennie się spotykamy.

Krowy się zatrzymują i bardzo ciekawie patrzą na białe bluzy i białe czapki płócienne chłopców. Niektóre łby odwracają i patrzą z ukosa, jak gdyby myślały:

„Ci mali ludzie to jednak bardzo pocieszne istoty. Jak im biedakom musi być niewygodnie chodzić na dwóch nogach”.

Tu widzą chłopcy pierwszy raz — pług, bronę. Tu widzą, jak się krowy doi. Tu widzieli jedno z najpiękniejszych zjawisk: żrebaka.

Mały konik idzie obok bryczki, a na bryczce pan w czapce urzędnika i woźnica. Paru chłopców pobiegło za bryczką, bo żreback jest tysiąc razy piękniejszy od krowy i od bociana.

— A batem ich tam, a batem — powiedział pan w czapce z gwiazdką do woźnicy.

Chłopcy zatrzymali się zdziwieni, przycichli, posmutnieli, jak gdyby przypomniawszy coś sobie.

— Mały konik, który tak was ucieszył, to syn starego konia — objaśnia dozorca — a pan, który chciał was uderzyć batem, to niemądry człowiek.

Pan w czapce urzędnika zarumienił się i nic nie odpowiedział.

Idziemy dalej.

Tu po prawej stronie drogi ciągnie się rów, w którym rosną niezapominajki. Raz Floksztrumpf zbierając kwiaty wpadł po pas w błoto — i czarny, mokry, zły — wrócił do domu.

Koło rzeki rośnie tatarak, na którym pięknie piszczeć można. W Warszawie tatarak trzeba kupować na targu, a tu rośnie sobie, nikt go nie pilnuje.

Na wzgórkach koło rzeki pary się rozdzielają i stają w dwóch rzędach, aby po kąpieli łatwiej znaleźć ubranie.

— Ryby, ach, ryby!

Małeńkie jak zapalki, a żyją, kręcą się przy samiutkim brzegu, a nie można ich złapać ani ręką, ani czapką, ani siecią z chustki do nosa.

— Ooo, tu — i tu — i tu.

Dlaczego dozorca nie wlezie do wody i nie spróbuje; przecież na niego nikt by się nie gniewał, jego nikt nie pilnuje, jemu wszystko wolno. Stoi, patrzy — i nic.

Ach, żeby tak wędka. Janek ze wsi ma haczyk, chce sprzedać go za dwa grosze. From ma włosy z końskiego ogona, a wędzideł na każdym krzaku dziesiątki. Cóż z tego, kiedy dozorca nie chce dać dwóch groszy?

Wielce stroskani puszczają łódki z kory na wodę, a najlepsze łódki robi Wolberg — szkłem lub scyzorykiem.

Kąpią się naprzód łobuzy i siedzą w wodzie długo. Chłapią, oblewają się, mocują, podstawiają nogi i przewracają — dają długie nurki, prawie tak długie, jak Janek i inni ze wsi chłopcy.

Kto na dane hasło nie wyjdzie z rzeki, ten w przejściu z łazienki¹⁸ dostaje ręcznikiem przez plecy. Toteż uciekają co sił, a ten i ów umyślnie się przewróci, żeby wejść znów „na chwileczkę” piasek opłukać.

Po łobuzach kąpią się spokojni, a na końcu Wajnrauch, mały Adamski i ci, którzy kaszlą w nocy.

Po kąpieli przechodzi się przez kładkę bez poręczy na drugą stronę rzeki. Zawsze ktoś umyślnie deskę rozbuja i wtedy strasznie przechodzić.

Na drugiej stronie łąka granic nie ma, ciągnie się na prawo do bagien, gdzie rosną piękne kwiaty błotne, na lewo aż het do lasów, których tylko ciemny pasek widać daleko.

Tu nie jeden, a tysiąc palantów można by urządzić, nie godzinę a tysiąc godzin można by biegać.

Mała piłko okrągła, prawda, że kochasz dzieci — o, i one ciebie kochają.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Aron Najmajster. Koszule na wyrost i bajka o złym królu.

Od biedy każdy z chłopców potrafi opowiedzieć bajkę; ale nikt nie umie ani tak zajmująco opowiadać, ani tylu smutnych i strasznych bajek nie pamięta, jak Aron Najmajster.

Ojciec Najmajstra zmarł przed trzema laty, matka jest robotnicą w fabryce papierosów, dzień cały za domem; a chłopiec nie może bawić się w palanta ani biegać bardzo, bo zaraz kaszleć zaczyna. Siedzi więc w rogu podwórza na Wołyńskiej ulicy i słucha bajek; sam opowiada, a stąd tyle ich umie. I jego najchętniej słuchają teraz w Michałowce.

Trzeba na przykład skrócić rękawy u koszul, bo są zbyt długie; a pani gospodyni będzie czas miała dopiero po obiedzie. Mamy trzech krawców w naszej grupie: jeden ojcu krawcowi w Warszawie pomaga, drugi z siostrą szyje krawaty, trzeci kłamry umie

¹⁸łazienka — tu: wyznaczone kąpielisko. [przypis edytorski]

przyszywać do pasków i sprzączki do szelek. Skrócić rękawy u kilku koszul to dla nich całkiem rzecz łatwa. Bierze się igły i nici do lasu.

— Aron, opowiedz nam bajkę.

Aron milczy chwilę, czeka, aż obsiądą go półkołem i uciszą się słuchacze. Krawcy biorą się do roboty. I w ciszy leśnej płynie jedna bajka za drugą.

— *A zoj*¹⁹ — zaczyna Najmajster śpiewnie.

„Dawnymi czasy żył król, który miał siedmiu synów i siedm córek. Król bardzo kochał swe dzieci, kupował im piłki, ciastka, karmelki i rodzyunki. Każdy syn miał zegarek i szablę wysadzaną brylantami, a córki miały suknie z koronek i pereł.

Pewnego razu przyszedł do króla wielki żydowski uczony, który znał wszystkie święte księgi od początku do końca i od końca do początku; a jak kto włożył igłę do księgi, to wiedział, co na tej stronie napisane od góry do dołu i od dołu do góry.

Mędrca tego przysłał do króla Żydzi. Słyszeli oni, że król kocha dzieci, więc myśleli, że będzie dobry i dla nich, i chcieli osiedlić się w jego królestwie.

Król pozwolił im mieszkać w swym państwie, ale był zły i chciwy. Kazał płacić ogromne podatki, bo każdy z siedmiu synów miał siedm razy po siedmiu służących, a każdy z nich miał jeszcze pomocników licznych. Każda córka miała siedm razy po siedm służebnic. I co dzień całe szafliki²⁰ złota posyłał król na targ, aby zakupić jedzenie dla dworu.

Coraz więcej kazał król Żydom przynosić pieniędzy, nieposłusznych zabijał, a bogatych wtrącał do więzienia i zabierał ich majątki. Wreszcie tak zubożeli, że tylko czarnym chlebem i cebulą żyli, zarówno w dzień powszedni, jak w szabas²¹.

Wreszcie wezwał król mędrca tego, który pierwszy doń przyszedł, i oświadczył, że i jego zabije. Dał mu trzy dni na modlitwę i zgodził się spełnić trzy jego życzenia przed śmiercią.

Uczony rebe²² pościł i nie spał, tylko czytał w księgach, a potem powiedział trzy życzenia swoje.

Pierwsze życzenie, żeby mu dali koguta, który ma białe i czarne w skrzydłach pióra, drugie życzenie, żeby mu wolno było wyrwać ze skrzydeł siedm czarnych i trzecie, żeby mu wolno było wyrwać siedm białych piór ze skrzydeł koguta. Przyszedł król do rebego, bo był ciekawy, co wielki uczony chce zrobić przed śmiercią. A przed domem czekali Żydzi, żeby zabrać ciało mędrca i pochować je na cmentarzu.

Rabin wziął koguta do ręki i modląc się, wyrwał mu pierwsze czarne pióro. I zaraz wszedł pierwszy służący króla i powiedział, że najstarszy syn jego nie żyje. Teraz wyrwał rabin pierwsze białe pióro, i weszła pierwsza służebnica króla i płacząc powiedziała, że najstarsza córka króla umarła. Jeszcze pięć razy wyrwał rabin czarne i pięć razy białe pióro, i za każdym razem wchodził służebny albo służebnica króla z żalobną wieścią.

Wreszcie zrozumiał król, że to kara Boża, opuścił głowę siwą na piersi i zapłakał.

— O rebe — zawołał płacząc — zostaw mi moich dwoje ostatnich dzieci, a ja daruję życie tobie i twoim braciom.

Zlitował się mędrzec nad królem i zostawił mu ostatnich dwoje dzieci — i od tej pory król stał się dobry i litościwy”.

Koszule gotowe, bajka skończona — idziemy na obiad.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obiad. Najpiękniejszy widelec. Liście, które gryzą. Ogród na wacie.

Na całym wielkim świecie, kiedy zasiada się do obiadu, nakrycia leżą już na stole; w Michałowce jest nieco inaczej, a ma to swe głębokie powody. Są w Michałowce łyżki nowe i stare, gorsze z niebieskiej blachy z popękana już nieco polewą, i lepsze, grube cynowe. A szczególnie widelce. Są widelce piękne, nowe, z żelaznymi trzonkami, są starsze, gdzie kolce nieco się już pogięły lub jeden krótszy, bo nadłamanymy. A najpiękniejszy

¹⁹*a zoj* (jid.) — tak więc; tak, w ten sposób. [przypis edytorski]

²⁰*szaflik* (z niem. *Schaffel*) — wiaderko, okrągłe naczynie. [przypis edytorski]

²¹*szabas* — żydowski dzień święty, wypadający w sobotę, poświęcany odpoczynkowi i modlitwie. [przypis edytorski]

²²*rebe* (z hebr. *rabbi*: nauczyciel, mistrz) — tu: mędrzec. [przypis edytorski]

na całej kolonii, a może i na świecie, jest widelec o czterech równych kółkach i białym rogowym trzonku.

Nic więc dziwnego, że Bieda zabrał lepszą łyżkę Raszera, Raszer zamienił swój gorszy na żelazny widelec sąsiada, nic dziwnego, że pokrzywdzony upomina się o swą własność, że robi się zamieszanie — powstają kłótnie, skargi, a w zamieszaniu grozi ogólna „poczta” noży i łyżek po stole — a dalej wylanie zupy, a może i bójka. Bo pamiętać należy, że na werandzie przy każdym z czterech stołów siedzi trzydziestu ośmiu chłopców, a każdy z chłopców ma dwie ręce, którymi broni swej własności.

Rozdaje się przeto nakrycia, gdy wszyscy już siedzą na miejscach.

— Dzisiaj my dostaniemy ładne widelce.

Bo rozdaje się je sprawiedliwie, po kolei, tak jak przylepki.

Myliłby się, kto by sądził, że obiad kolonijny to taki cichy, nudny — grzeczny warszawski obiad.

— Proszę pana, czy to prawda, że funt ołowiu jest tak samo ciężki, jak funt pierza?

— Prawda.

— A widzisz?

Tu rozważają się najważniejsze wypadki ubiegłej połowy dnia, godzą się poważnieni i zrywają przyjaźń niedawni przyjaciele.

— Czy to prawda, że na sośnie, na którą wczoraj piłka wpadła, jest gniazdo wiewiórek? Czy w lesie orłowskim są wilki? Czy można się otruć grzybami? Czy są wielkie ryby, które mogą połknąć człowieka?

Te i podobne rozmowy prowadzi się przy zwyczajnym obiedzie, ale są i obiady nadzwyczajne — powiedzmy obiad wojenny, wycieczkowy, warcabowy, kiedy mówi się tylko o jednej sprawie, kiedy jeden temat żywo zajmuje całą kolonię.

Dzisiejszy obiad można by nazwać ogrodniczym.

Po pierwsze, Pergericht, zbierając bukiet, poparzył się pokrzywą.

— Czegóż bo nie ma na tym świecie? Wszystkim wiadomo, że woda gorąca parzy, pies gryzie, koń kopie; ale żeby liście gryzły bosc nogi, to całkiem rzecz nowa.

I Pergericht więcej się dziwi, niż martwi.

Dalej, dowiedzieli się chłopcy, że można zasadzić ogród na wacie, na takiej samej zwyczajnej wacie, którą się kładzie w ucho, kiedy ząb boli. Należy ją tylko rozłożyć na talerzu, zwilżyć wodą i posypać siemieniem, grochem, fasolą.

Nie wierzyliby, ale jakże nie wierzyć, gdy widzą własnymi oczyma?

Ale może dzieje się tak tylko tu na kolonii, w krainie dziwnych dziwów!

— Czy w Warszawie także będzie rosło?

— A jakże: na każdej ulicy, w każdym mieszkaniu.

Cieszą się: tak przyjemnie mieć własny ogród — bodaj najmniejszy, bodaj na talerzu tylko, ale za to bez bramy, przy której stoi ogrodnik i nie wpuszcza dzieci biednie ubranych.

I dlatego obiad dzisiejszy nazwałbym ogrodniczym, że po raz pierwszy ukazały się na stołach bukiety, które zajmują miejsce, a jeść ich nie można, więc są niepotrzebne zupełnie. I grupa ma rozstrzygnąć, czy chce, żeby bukiety stały podczas obiadu na stole, i jeśli tak, trzeba wybrać dyżurnego, który by wynosił je zawsze na werandę, jak dwaj inni wynoszą miski do mycia rąk, a mały Adamski ręczniki.

A tymczasem już zupa i mięso zjedzone.

— Proszę pana, mnie jeszcze marchewki!

— Stój bratku, a kto wczoraj nie jadł kaszy na mleku?

— Ja już będę jadł.

— Zobaczymy.

Dokładka ze słodkiej marchewki to wielki specjał i potężna broń, którą się walczy z grymasami przy stole. Nie darmo napisał pewien mąż uczony w bardzo grubej książce: „Nie wolno dawać marchewki temu, kto nie je kaszy na mleku”.

— Nieprawda, nikt tego nie pisał.

— A ty skąd wiesz, że nieprawda? Czy czytałeś wszystkie grube książki wszystkich uczonych mężów?

— Nie, nie czytałem.

— A widzisz?

Po obiedzie pyta się Bromberg:
— Proszę pana, czy będzie co jeszcze?
— A jakże: lody i cygara.
I śmieją się chłopcy z Bromberga.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kulawy Wajnrauch. Konkurs warcabowy. Tamres zwycięzcą. Żegnajcie kolonie.

Wajnrauch jest zadowolony, że chodzi o kuli, bo postrzelono go na ulicy i w szpitalu odjęto mu nogę. Chętnie opowiada o doktorach w fartuchach i siostrach miłosierdzia w dużych, białych czepkach. Dobrze mu było w szpitalu, dobrze mu i teraz na kolonii. Pani gospodyni zawsze przez współczucie dołoży coś do talerza ponad program i niejeden z psich figłów uszedł mu na sucho.

— Proszę pana, Wajnrauch się bije.

— A po co on woła na mnie: kulas i łobuz z Krochmalnej ulicy?

I śmieje się, bo wie, że ma sprawę wygraną. A łupnąć kogoś w kark, aż uderzony świeczki w oczach zobaczy, był to zwykły jego kares²³, dowód przyjaźni serdecznej.

W szpitalu nauczył się grać w warcaby, potem zrobił je w domu z tektury i korków. Tekturę ma, bo w Warszawie klei pudełka do sklepów, a korki znalazł na podwórzu i dostał od kolegów.

Kiedy więc trzeba było wszystkich chłopców rozdzielić na grupy do konkursu warcabowego, czynność ta powierzona została Wajnrauchowi.

Konkurs trwał tylko dwa dni, ale przygotowania zajęły wiele dni między obiadem i podwieczorkiem.

Byli chłopcy, którzy grać się dopiero uczyli, inni wprawiali się spieszenie, a najtrudniej grać damą, zrozumieć jej rolę i przywileje na szachownicy.

— Czy damę wolno bić, czy można damie dać „chucha”, czy dama może przeskakiwać przez dwa pionki, czy ostatni kamień musi być damą?

Wajnrauch uczył, tłumaczył, grał z każdym na próbę, a potem wpisywał go do grupy złe, miernie, średnio, bardzo dobrze lub wzorowo grających, innymi słowy, stawiał pałkę, dwójkę, trójkę, czwórkę lub piątkę.

Jak widać, była to praca długa i trudna, toteż Wajnrauch, chcąc się z niej sumiennie wywiązać, nie miał czasu ani bić się, ani przeklinać.

Kiedy już wszyscy byli rozdzieleni na grupy, rozpoczął się konkurs. Pałki grały z pałkami, dwójki z dwójkami. Że siły były równe, dowodzi fakt, że z trzech rozstrzygających partii Zawoźnika z Fichtenholcem — pierwsza długo się ciągnęła i została nierozegrana, a dopiero dwie następne wygrał Zawoźnik.

W grupie miernie grających zwycięzcą był Dessen. Aż trzy nierozegrane partie dała walka Lisa z Kryształem i cztery razy zmagął się Płocki z Kuligiem.

Najciekawsza była walka mistrzów gry, takich jak Altmann, Tamres i Wajnrauch. Wiele widziało się tu znakomitych ruchów na szachownicy, długo i z namaszczeniem obmyślane było każde posunięcie. Wreszcie bezspornie, bez protestów ze strony pokonanych, zwycięzcą warcabowym ogłoszony został nie Wajnrauch, a — Tamres, on bowiem pokonał wszystkich, grających wzorowo.

Może na przyszły rok na kolonii Wajnrauch zwycięży? O nie, kończy już lat trzynaście, już będzie za stary, kolonie są tylko dla dzieci. Toteż gdy wyjeżdżał, długo wychylał się z wozu, długo powiewał czapką i wołał:

— Żegnajcie kolonie, adie²⁴ Michałówko!

Spotykam czasem kulawego Wajnraucha w Warszawie. Kiedy się kłania, zawsze uśmiecha się wesolo: pewnie przypomina sobie wtedy konkurs warcabowy, bociana, bajki Najmajstra i słodką marchewkę.

²³kares — przymilanie się. [przypis edytorski]

²⁴adie (z fr. *adieu*) — żegnaj. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Listy rodziców. Czy Jasek nie płakał o szelki? Ostatnie karty.

Rano piekarz przywozi chleb i listy z poczty. Listy oddaje się chłopcom dopiero po śniadaniu. Bo kto list otrzyma, ten z wielkiej radości już mleka pić nie chce, kto nie otrzyma listu, ten znów mleka nie pije z wielkiego frasunku. A pamiętać należy, że otwarta karta sześć groszy kosztuje, to jest tyle prawie, ile funt chleba; nie tak więc często dostawali chłopcy wiadomości z domu.

Do Rubina pisała matka:

„Kochany synku, cieszy nas bardzo, że się kąpiesz i że nie tęsknisz do domu. Bądź grzeczny i posłuszny, baw się wesoło i wróć zdrow i dobry do kochającej cię matki”.

Takich listów, napisanych po polsku i bez śmiesznych błędów, było niewiele. Ale czyż nie to samo czuł i chciał powiedzieć ojciec Borucha, pisząc do syna:

„Kochany syn Boruch! zawiadamiam ci, że jesteśmy Bogu chwała, zdrowi, czego i ciebie to samo życimy. Ukłon od ojca i matki. Bądź posłuszny, i co cię powią, żeby wykonałeś akkuratnie. Ściskamy się tobie z daleka...”

A w czwartek po obiedzie chłopcy piszą do Warszawy, rozumie się, tylko ci, którzy pisać umieją.

— Proszę pana, niech pan napisze mi list.

— Co napisać?

— Bo ja wiem?

— Napiszę, że jesteś łobuz i bijesz się z chłopakami.

— Nie chcę... Niech pan napisze, czy Jasek płakał, że mu zabrałem szelki.

— Toś ty szelki zabrał Joskowi?

— Bo mama kazała; bo moje ubranie podarte, a jego ubranie ma szelki.

— Więc może zapytać się, czy Jasek nie płakał, że zabrałeś jego ubranie?

— Dobrze, niech pan pisze...

Pisał Hersz po żydowsku:

„Do moich kochanych rodziców. Po pierwsze piszę, że jestem zdrow i chciałbym wiedzieć, co słychać w domu i ważę 54 funty i jem 5 razy dziennie i wszystko wam opowiem i robimy fortecę i kopujemy ziemię i ja bym bardzo chciał wiedzieć, co słychać w domu”.

Były w listach dzieci i pełne troski pytania:

„Czy kochany ojciec znalazł zajęcie, czy Chaim ma robotę i czy co zarabia?”

Bo kiedy chłopiec wyjeżdżał na kolonie, ojciec był bez roboty...

Niektórzy z niepiśmiennych nie mieli zaufania do dozorca, woleli, żeby im napisał kolega. Kolega napisze, co mu się każe, a dozorca gotów donieść rodzicom, że on wczoraj w kąpieli szedł na środek rzeki, gdzie głęboko, lub goniąc wiewiórkę, nos sobie podrapał. Lepiej ostrożnym być z władzą.

I kolega, rozpytawszy o stosunki rodzinne, pisze jak z książki:

„Po pierwsze jestem zdrow i kłaniam się dziadzi i kłaniam się bratu i kłaniam się siostrze i kłaniam się małemu bratu Motce i kłaniam się całej rodzinie. Bądźcie zdrowi i jem pięć razy dziennie i kłaniam się Abramkowi i kłaniam się cioci i kłaniam się wujaszkwowi jednemu i drugiemu”.

Kolega odczyta list, okazuje się, że wszystko w porządku.

— Proszę pana, już napisałem.

I kontent: wysłał pierwszy list w życiu...

W czwartym tygodniu pisze karty dozorca:

„Proszę oczekiwać syna na dworcu w czwartek, dnia 20 lipca, o godzinie dwunastej w południe”.

I dodaje na końcu:

„Był wesół i miły, lubiliśmy go bardzo”.

Przyjemnie będzie dowiedzieć się rodzicom, że dziecko ich zyskało sympatię obcych ludzi.

— Proszę pana, co pan o mnie napisał?

— Że nie chciałeś jeść kaszy i źle łóżko ślałeś, żeby ci w skórę dał ojciec.

— Nie bój się, nauczyciel żartuje tylko — poucza go doświadczeńszy kolega.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Chaim i Mordka. Kukulka, wiewiórka i historia o motylu. Mordkę nazywają Maćkiem.

Dlaczego Chaim, który nikomu nie daruje miłego spokoju, żyje w przyjaźni i nie krzywdzi nigdy Mordki Czarneckiego?

— Czy Chaim jest twoim przyjacielem?

— Tak — potwierdza Czarnecki skinieniem głowy.

— I nie bije się z tobą?

— Nie — zaprzecza żywo.

Mordka Czarnecki ma duże, czarne oczy, które zawsze się dziwią i zawsze są trochę smutne.

Raz bawili się chłopcy na polance, a w olszynie kukulka kukała.

— Kuku! — woła kukulka w gęstwinie.

— Kuku! — powtarza Czarnecki i słucha, i czeka, dopóki mu ptak nie odpowie.

Długo tak rozmawiali: kukulka i chłopiec. Aż ptak spłoszony uleciał — i dziwi się Mordka, że nikt mu nie odpowiada, i wierzyć nie chce, że z kukulką rozmawiał.

Kiedy chłopcy widzą wiewiórkę, różnie się jej przyglądają: jedni czają się, żeby ją podejść i pochwycić znienacka, bo jak wieść niesie, był trzy lata temu chłopiec, który żywą wiewiórkę złapał i przyniósł do kuchni. Inni śmieją się z wielkiej uciechy, że małe, rude zwierzątko tak zwinnie skacze z gałęzi na gałąź: człowiek na pewno by zleciał i łeb sobie rozbił. Czarnecki nie śmieje się, tylko szeroko otwiera oczy i dziwi się, że wiewiórka to umie, czego nikt nie potrafi...

Bawią się chłopcy w klipę²⁵. Czarnecki przystanął z boku i dziwi się, że można tak zręcznie, tak wysoko kijek kijkiem podrzucać. Ale sam nie próbuje grać w klipę...

Tak samo patrzy na zachód słońca: jak gdyby miał jakąś myśl ważną, która go zajmuje — i dlatego wtedy tylko się budzi z zadumy, kiedy coś bardzo pięknego zobaczy...

Motyl przelatuje z kwiatu na kwiat. Czarnecki idzie za nim krok w krok — nie, żeby go pochwycić, dziwi się jeno, że te dwa płatki śniegu uciekają przed nim tak, jakby żyły. A może żyją naprawdę?

— Czy motyle muszą być białe? — zapytał Chaima i opowiedział mu taką historię.

Raz chłopiec w szkole podarł kartkę papieru na drobne kawałki i wyrzucił przez okno. Kiedy papierki powoli spadały, wszyscy dobiegli do okien i jedni wołali, że to śnieg, a inni, że motyle fruwały.

Przyszła stróżka na skargę, że zaśmiecił podwórze; a nauczyciel dowiedział się, kto papierki wyrzucił przez okno i zbił chłopca drewnianym cybuchem od fajki. Chłopiec bardzo płakał, a Czarnecki dowiedział się wtedy, że są na świecie motyle — i teraz widzi je tu, na kolonii własnymi oczyma...

Chłopcy śmieli się z Mordki, że przez sznur skakać nie umie, że w berku ucieka niezgrabnie, piłki nigdy nie złapie — i nazywali go Maćkiem.

Powiedziano chłopcom, że są ludzie dobrzy i źli, mądrzy i głupi; a Maciek — to imię chłopskie, a więc imię ludzi biednych — i wcale nie śmieszne. Jeżeli pogardliwie mówią o Maćku, to czynią tak samo, jak ci, którzy z imienia Mosiek²⁶ się śmieją. Ale starsi i rozsądniejsi tylko zrozumieli, co im tłumaczył dozorca.

Dopiero kiedy Chaim zapowiedział uroczyscie:

— Kto zaczepi Czarneckiego, temu zęby wybije — wszyscy już uznali, że z obu przyjaciółmi nie można zaczynać...

Dlaczego Chaim, jeden z największych urwisów, zawarł przymierze z najcichszym z chłopców kolonii, Czarneckim?

²⁵klipa — gra zręcznościowa polegająca na podbijaniu kijkiem drewnienka. [przypis edytorski]

²⁶Mosiek — zdr. żydowskiego imienia Mojżesz, funkcjonowało jako pogardliwe określenie Żyda. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gazeta „Michałówka”. Dlaczego chłopcy źle mówią po polsku? Smutno jest po żydowsku też: smutno.

Elwing od razu się domyślił, że gazeta „Michałówka” nie przychodzi z Warszawy, tylko ją panowie sami piszą i umyślnie kładą do koperty, niby że z Warszawy przysłano. Ale i on słucha, boć przyznać musi, że wszystkie wiadomości są najświeższe i bardzo ciekawe.

Różne były nowiny w gazecie:

„Chłopcy bawili się w palanta i wybili szybę. Pani gospodyni bardzo się gniewała”.

*

„Grinbaum Boruch pobił się z bratem swym Mordką”.

*

„Mały Mamelok włązi na okno i zagląda do kuchni”.

*

„Hewelkie i Szekielewski nie chcą jeść kaszy”.

*

„Jejman uderzył w nos Butermana. Buterman przebaczył Jejmanowi”.

*

„Nowy pies zerwał się z łańcucha i uciekł. Ale go Franek złapał”.

*

„Wajnberg zrobił dziurę w czapce; będzie chodził w dziurawej czapce, bo nowej nie dostanie”.

*

„Sztabholtz pił dużo wody po jajkach, będzie go brzuch bolał, a może nawet będzie musiał wypić całą łyżkę rycyny”.

*

Jeden artykuł gazety „Michałówki” poświęcony był butom: — jak niewygodnie chodzić na wsi w butach, jak przyjemnie i zdrowo chodzić bosy; inny znów głosił, jak spędza czas na kolonii chłopiec zuch, a jak fujara.

A jeden artykuł poświęcony był koloniom letnim:

„Kolonie letnie już 25 lat wysyłają dzieci na wieś.

Kolonie letnie wysyłały mało dzieci, potem dużo dzieci, a teraz wysyłają co rok trzy tysiące; połowa, to jest tysiąc pięciuset, chłopców i tysiąc pięćset dziewczynek.

Kolonie letnie wysyłają dzieci katolickie i dzieci żydowskie, ale tylko biedne.

Kolonie letnie wydają czterdzieści tysięcy rubli na rok, żeby wysłać dzieci na wieś. Ubrania, łóżka, talerze, mydło, mięso i mleko — wszystko trzeba kupować. Więc ten, kto gubi chustki do nosa i piłki, drze ubrania, wybija szyby i łamie widelce — robi źle, bo będzie mniej pieniędzy na mleko i chleb, i nie wyjedzie już tak dużo dzieci, a te, które nie wyjadą na wieś, będą smutne, będą płakały.

Kolonie letnie mają dużo takich domów i lasów, jak Michałówka. Dzieci jadą i do Ciechocinka, i do Zofiówki²⁷, i do Wilhelmówki²⁸.

Na kolonię Michałówkę idzie dużo pieniędzy, bo aż pięć tysięcy rubli. Dwa razy w ciągu lata przyjeżdżają tu chłopcy i dwa razy dziewczynki.

Kto daje te pieniądze? — Dają różni ludzie. Jeden umiera, więc pieniądze już mu są niepotrzebne. Drugi chce kupić sobie łaskę u Pana Boga, trzeci chce, żeby wszyscy mówili, że on jest dobry. A czwarty jest naprawdę dobry i chce, żeby wszystkie dzieci bawiły się wesoło na wsi i były zdrowe.

Kto zbiera te pieniądze? — Zbiera je prezes kolonii letnich i jeszcze inni panowie i panie.

Dlaczego oni zbierają pieniądze?

Bo ich ludzie lubią i wierzą im, i wybrali ich tak samo, jak wy tu w Michałówce wybraliście na sędziów: Presmana, Płockiego i Frydensona”.

*

O koloniach letnich można było ładniej napisać w gazecie, ale dzieci żydowskie źle rozumieją po polsku i trzeba pisać dla nich łatwymi wyrazami.

Niektórzy chłopcy wcale nie mówią po polsku, ale pomimo to radzą sobie doskonale. Mówią:

— Proszę pana — ooo!

„Ooo!” znaczy: mam za długie spodnie, brakuje mi guzika, komar mnie ugryzł, jaki ładny kwiatek, nie mam noża albo widelca.

Wszystkie te zdania zastępuje jedno krótkie:

— Ooo!

Śniadanie, podwieczorek, kolacja — wszystko nazywa się obiad. I ile razy odezwie się dzwonek, biegną z wesołym okrzykiem:

— Na obiad!

Skąd wiedzieć mają, że różne nosi imiona posiłek, w różnych porach dnia spożywany, gdy w domu, ile razy są głodne, otrzymują zawsze taki sam chleba kawałek z niedocukrzoną herbatą?

Rzecz inna ci, którzy mieszkają na ulicach, gdzie dużo jest chłopców polskich.

Grinbaum ze Starego Miasta mówi dobrze po polsku, bracia Furtkiewicz noszą już polskie imiona: Henio, Gucio się nazywają. A Topcio Mosiek razem z Frankami i Jankami gołębie podpuszcza, nauczył się od nich gwizdać na palcach i pisać jak kogut, bo mieszka na Przykopywej ulicy...

Ale są w Warszawie ulice, gdzie jeśli się słyszy polski wyraz, to tylko brzydkie przekleństwo stróża domu, że mu żydowskie bachory podwórze zaśmiecili. I jeśli tam chłopczyna usłyszy mowę polską, to tylko:

— A bodajeś zdechl, a bodaj was cholera!

²⁷Zofiówka — ośrodek kolonijny Towarzystwa Kolonii Letnich, mieścił się w powiecie ostrołęckim. Od 1904 r. wypoczywały tam jedynie dziewczęta. [przypis edytorski]

²⁸Wilhelmówka — ośrodek kolonijny Towarzystwa Kolonii Letnich opisany przez Janusza Korczaka w książce *Józki, Jaśki i Franki* (1911). Od 1904 r. był to ośrodek męski. [przypis edytorski]

Tu na wsi mowa polska uśmiecha się do nich zielenią drzew i złotem zboża, tu mowa polska splata się z wesołym śpiewem ptaków leśnych, mieni się perlami gwiazd, oddycha powiewem rzeczno-wietrzyka; wyrazy polskie, podobnie jak kwiaty polne, same układają się w łąki radosne, lub wznoszą czyste i promienne jak słońce o zachodzie.

Nikt ich tu mówić nie uczy, bo czasu na to nie ma, nie poprawia się nawet, gdy źle mówią. Uczy je wieś polska, niebo polskie...

Nie razi tu i żargon żydowski; bo to nie żargon krzykliwy i ordynarny kłótni i przewisk, a tylko — obcy język rozbawionej dziatwy.

I żargon ma swe tęskne, tkliwe wyrazy, którymi matka chore dziecko usypia.

A cichy, szary polski wyraz: „smutno” jest po żydowsku też: „smutno”.

I kiedy dziecku polskiemu czy żydowskiemu źle się dzieje na świecie — tym samym wyrazem myśli, że mu — smutno.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wojna. Walka przy pierwszym forcie. Zdobycie drugiego fortu. Żołnierz dłużyący w nosie i zawieszenie broni.

Wyruszamy do naszej fortecy.

Rozlega się donośny głos trąby wojennej, odpowiadają mu małe trąbki oddziałów. Szczęk żelaza łopat saperskich. Bieganina i nawoływania. Powiewają chorągwie.

— Formować oddziały — głosi komenda.

Pierwszych siedem par, to „napad”. Tych czternastu bohaterów ma walczyć przeciwko wszystkim pozostałym. Oddział nieliczny, ale dzielny, a że walczyć umie, że nie przeraża go przeważająca liczba wroga, dowiodły trzykrotnie odbyte manewry.

— Obrona pierwszego fortu — naprzód! — głosi komenda.

Na czele generał Korcarz ze sztandarem pierwszego fortu, za nim cztery pułki, każdy pułk przy swoim dowódcy; na przodzie obrona dwóch bocznych skrzydeł, za nią dwa środkowe pułki, które staną przed samym sztandarem.

Jeśli zatknięty na wzniesieniu sztandar dostanie się w ręce nieprzyjaciela, oddziały muszą się cofnąć dobrowolnie i saperzy z ziemią zrównają pierwszy fort, a walka rozpocznie się przy drugim.

Generał Hersz Korcarz dowiódł, że umie sam mężnie walczyć w pierwszym szeregu, a mimo to nie zapomina co moment spoglądać na wzniesienie z chorągwią, by w razie niebezpieczeństwa wzywać w porę podwładne mu pułki na pomoc zagrożonemu sztandarowi. Prócz męstwa musi mieć krew zimną i przytomność umysłu.

— Fort trzeci, czwarty, piąty — naprzód — raz, dwa!

Te forty, jak widać z planu, osłaniają fort pierwszy od tyłu i z boku. Oddziały muszą być gotowe na każde wezwanie, biec z pomocą zagrożonemu sztandarowi pierwszego fortu.

Jeśli napad liczy w swych szeregach śmiałych, silnych, dojrzałych i wytrawnych wojaków, to i obrona gotowa jest do ostatnich sił walczyć o swój honor — i zwarcie się dwóch tych mocy będzie potężne.

I choć bój bliski czeka mężne pułki, idą przez las wesoło pod takt śpiewanego marsza.

Na samym końcu jadą wozy szpitalne, te same, które służyły do przewożenia kulbów z piaskiem i kamieni przy budowie fortecy. Teraz wiozą aptekę i wodę, i miski do obmywania rannych. Nielicznym oddziałem felczerów i sanitariuszów dowodzi kulawy Wajnrauch, lekarzami są Sosnowski i garbaty Kryszał, a chorągiew szpitalną, która ma zabezpieczyć szpital od napadu, niesie Sikora.

Przy fortecy nie ma już zamieszania. Wszystkie oddziały spokojnie zajmują swe pozycje. Sztandar pierwszego fortu lekko kołysze się na wietrze.

Fort pierwszy obrony: Generał Hersz Korcarz, Pułkownik Flekier (prawe skrzydło), Pułk 1. Pułkownik Rubinsztajn (lewe skrzydło). Pułk 2. Pułkownik Pergericht (centrum). Pułk 3. Pułkownik Landsberger (centrum). Pułk 4.

Fort trzeci (boczny): Generał Zamczykowski Pułk 5.

Fort czwarty i piąty (boczne): Generał Lew. Pułk 6 i 7. (Pułk 5, 6 i 7 bronią fort pierwszy od boków). Generał Presman na czele pułków 8, 9 i 10 rezerwy.

Fort szósty i siódmy (druga linia bocznych fortów): Generał Altman.

Forteca: General Lis na czele drugiej rezerwy.

Pułk napadu stanowiło 3 chłopców.

Pułk obrony stanowiło 8–10 chłopców.

Posel wręcza generałowi Korcarzowi papier z krótkim zawiadomieniem:

„Rozpoczynamy napad”.

Na długie listy nie ma czasu. Odpowiedź brzmi:

„Czekamy”.

Napad rozdzielił się na małe oddziały — trójki. Podczas gdy dwie trójki rzucą się na boczne skrzydła pierwszego fortu, aby rozproszyć siły obrony, aby odwrócić uwagę od placu, gdzie zatknięta jest flaga, pozostałe najmocniejsze trzy trójki rzucą się w sam środek okopu, aby jednym silnym naporem strącić z nóg obrońców, oszołomić ich i wyrwać w pierwszym zaraz ataku zwycięstwo.

Chwila nieuwagi, moment zapomnienia, a szala zwycięstwa przechylił się w stronę ataku. Wzięcie pierwszego fortu to jeszcze nie zdobycie fortecy, ale już duży krok naprzód.

Trzykrotna pobudka dużej, głównej trąby — i pierwsza trójka występuje z okopu. Galopem przebiega przestrzeń dzielącą ją od fortu i zatrzymuje przed rowem, jakby zbrakło jej odwagi. Rozumie się, że jest to fortel wojenny, chęć uśpienia czujności obrony.

Dziesiątki rąk wyciągniętych, gotowych strącić trzech śmiałków, cofa się. Widać, jak niektórzy lekkomyślni obrońcy centrum wału opuścili swoje pozycje, nie rozumiejąc, że skrzydła same się mogą obronić, a że oni, środek broniący wzniesienia ze sztandarem, potrzebować będą czujnej pomocy.

Kiedy pierwsza trójka wolnym truchtem wracała do okopu, głośno śmiała się i drwiła obrona.

Znów donośny głos trąby — i dwie trójki na oba skrzydła wykonywają fałszywy atak z tym samym rezultatem.

— Boją się — decyduje tryumfująca obrona.

Ta pewność siebie i przelotny tryumf omal nie stał się powodem wielkiego nieszczęścia. Bo kiedy w prawdziwym ataku dwie boczne trójki teraz naprawdę wdzierają się po częły na wał, środek okazał się prawie bez obrony.

Ale tu stał generał Hersz Korcarz i sam jeden wytrzymał wściekły atak napadu, dopóki oprzytomniałe oddziały nie przybiegły na pomoc.

Wszyscy są już na wale. To ten, to ów miga koło sztandaru. Odparci z jednej strony, biegną z przeciwnej. Kogo zepchnięto do rowu, drze się znów w górę. Kto upadł, podnosi się i dalej bierze udział w walce. Raz po raz miga twarz to tego, to owego zuchwalca na okopie, ale rychło strącony, znów musi się na fort drapać z wysiłkiem.

Bić pokonanych zabrania prawo wojenne; wolno tylko odpychać lub ściągać z wału obrońców. Zadaniem sanitariuszów jest pomagać wstać leżącym. Rannych nie ma: rannym będzie ten, kto się rozplacze, ale nie ma płaczących.

Trąba ogłasza odwrót. Znużone trójki powracają do obozu. Pierwszy atak odparto zwycięsko. Ale to jeszcze nie zawieszenie broni. Po pierwszym nastąpi drugi i trzeci. To dopiero przygrywka, pierwsze wypróbowanie sił, to ledwie wielkie manewry, które pozwalają ocenić zdolność bojową obu walczących armii.

Napad odbywa krótką naradę.

Znów dźwięki trąby wojennej — znów walka. Już — już zda się chorągiew w rękę nieprzyjaciela, gdy jeden krótki okrzyk: „Do sztandaru” — skupia w jednym miejscu rozproszonych żołnierzy i tworzy wokół niezwalczony żywy mur obrońców.

Otoczony przez przeważające siły napad nie może liczyć na zdobycie fortu; tylko pierwszy impet nieoczekiwanego ataku dać mu może zwycięstwo; gdy ten zawiedzie, nie należy bezowocnie wyczerpywać sił i zapasów, tylko lekkimi potyczkami nużyć nieprzyjaciela i czekać, aż w walce ciągłej zniszczy się powoli i obniży wysoki wał fortu.

Ale napad się niecierpliwi. I oto zręcznym manewrem rozproszona obrona daje możliwość pochwycić sztandar nieprzyjacielowi.

— Opuśćcie pierwszy fort! — brzmi wezwanie — mamy wasz sztandar.

Przedwczesny tryumf.

Rozwiesza się polowy telefon i z gorączkowej rozmowy obu dowódców wyjaśnia się, że padli ofiarą podstępny: zdobyli prawie bezwartościowy sztandar czwartego fortu, który obrońcy opuścili i pozwolili rozkopać z niewielkim dla siebie uszczerbkiem.

Z tego powodu powstał nawet przelotny bunt w obozie napadu.

Powstało i wiele innych pytań, które trzeba było rozstrzygnąć, jak sprawę brania do niewoli i wymiany niewolników, sprawę chorążego trzymającego sztandar, żołnierzy Kurliga i Mitmana o znęcanie się nad pokonanymi. Wobec tego zawieszono broń na dzień jeden.

Z tryumfem powracała na posilek obrona, z wiarą w przyszłość kroczył napad, by korzystając z czasowego pokoju, pokrzepić kolacją i snem znużone w boju ciało.

Nazajutrz dzień był skwarny, więc dopiero koło wieczora obie armie zajęły swe pozycje.

I okazało się, że zdobyty wczoraj fort czwarty nie był bez znaczenia, a może napad, korzystając z zawieszenia broni, dokładniej wypracował plan działania. (Dodawać nie potrzeba, że tematem rozmów w dniu tym była tylko wojna). Może wreszcie Korczakowi trudniej było porozumieć się ze swą liczną armią, a może wczorajsze powodzenie osłabiło czujność obrony. Dość, że po pierwszym krótkim, jakby próbnym ataku, nastąpił drugi, niespodziewany i tak silny, że nie tylko sztandar dostał się w ręce napadu, ale i część obrońców wyparta została z pozycji.

I padł dumny i nieprzystępny fort pierwszy, poorany w licznych walkach, zburzony podczas ataków wcześniej jeszcze, niż zgodnie z warunkami wojny, oddany został na rozkopanie saperom.

Tu żołnierz Raszer otrzymuje w polu rangę pułkownika; już Szajnkinder i Prager mają pierś ozdobioną orderem. Generał Zamczykowski zdegradowany został za nieporządek w dywizji; żołnierze Grubman, Irlblum i Szrajbaum uwolnieni z powodu choroby, Margules, Korn, Tamres i Płocki poznali się z niewolą.

Zagrzone w boju, bogate w zdobyte doświadczenie, obie armie szykują się do dalszych zapasów.

Do obrony drugiego fortu przybywa generał Presman (młodszy), obok którego stać będzie Korczak, nieszczęśliwy bohater ubiegłych bojów. Rezerwa daje nieliczny, ale silny oddział Rotsztajna, Aptego, Hechtkopfa i Krasnobroda. Prócz tego na fortach szóstym i siódmym przybywają dwa nowe pułki generałów Karasia i Altmana.

Tu drogą układów postanowiono w sprawach spornych urządzać sądy rozjemcze generałów, którzy po wymianie glejtów bezpieczeństwa schodzą się mają na pół drogi.

Wreszcie pierwsza krótka mowa na drugim forcie przed bojem:

— Żołnierze! Oto widzicie podarty szary kawał płótna na nadłamanym drzewcu. To honor i byt drugiego fortu. Ten stary sztandar tym bardziej cenny, że poszarpany w bojach, że wyblakły w polu.

Znów wymiana depeesz przez posłów, znów trąbka wygrywa pobudkę.

Napad, zachęcony powodzeniem, zmienił taktykę walki. Ataki są krótkie, ale za to mocne i nieprzerwane.

Każda odparta trójka zbiera się natychmiast i rzuca wspólnie na najsłabszy punkt okopu.

Ale i obrońcy mają doświadczenie bolesnej porażki. Trzy pułki stoją nieruchomo przy sztandarze, nie biorąc udziału w walce ogólnej, stanowiąc rezerwę i niezwalczoną obronę powiewającej chorągwi.

Wzrasta liczba bohaterów, wzrasta i liczba wziętych do niewoli. Cały pułk piąty, wraz z dowódcą, prócz jednego tylko żołnierza Rozenrota, wpada w zasadzkę. Z żołnierza mianowany pułkownikiem otrzymuje rangę generała Hersz Raszer. Odznacza się Herzman, Gutner, Korczak, Gebajder, i Szpirglas. Degradacja spotyka pułkownika Horenkriga za nieporządek w oddziałach. Wreszcie pod sąd wojenny dostaje się żołnierz Herszfinkiel, który podczas boju siedział spokojnie na bocznym wale i dłużył w nosie.

Dłubanie w nosie, czynność mająca licznych zwolenników i na ogół niewinna, staje się karygodną w godzinie walk o honor fortecy i oburzyć musi każdego, już nie tylko wodza, ale towarzysza broni.

Pod koniec drugiego dnia boju saper Flaszenberg zniszczył połowy telefon — i znowu zawieszono broń do dnia następnego.

Nieprzyjaciele podają sobie dłonie. Przy dźwiękach marsza tryumfalnego wręczono odznaczenia — piękne ordery, wycięte z czerwonego, niebieskiego i złotego papieru.

Trzeciego dnia obie strony gotowe są wyrzec się nawet obiadu, byle dojść do rezultatu i albo zmusić napad do odwrotu, do wyrzeczenia się raz na zawsze pretensji do fortecy, albo widząc bezskuteczność dalszego oporu, poddać fortecę na zaszczytnych warunkach.

Jednakże żadna ze stron nie była skłonna do ustępstw. Fort drugi padł dopiero czwartego dnia walki, i to z winy fatalnego wypadku.

Oto jedna z trójek, wpadłszy na wzniesienie ze sztandarem, nie zdążyła go wprawdzie zabrać, ale ułamała kawałek drzewa z jednym gwoździem i strzępem płótna, nie większym niż pół centymetra.

Zjawia się tedy pytanie:

— Czy sztandar należy uważać za wzięty?

Zawieszenie broni i sąd rozjemczy. Z zapartym oddechem oczekują obie strony rezultatu narad wodzów. Narady trwają długo, bo sprawa jest zawikłana.

— Czy żądacie, byśmy po kawałku zdobywali wasz sztandar? Czy ten kawałek nie dowodzi, żeśmy go mieli w rękach? — pytają wodzowie napadu.

— Czy on nie dowodzi również — twierdzi obrona — że sztandaru zdobyć nie mogliście?

Sąd odbywał się na placu między obozem i fortecą i tylko pojedyncze wyrazy wzburzonych mówców dobiegały do uszu armii.

Wreszcie generał Presman, bardzo blady, powróciwszy rozkazał sztandar drugiego fortu oddać wrogowi i wojsku cofnąć się do fortecy.

Rozległy się ponure tony marsza żałobnego. Wodzowie mieli lzy w oczach. Sprawiedliwości stało się zadość.

Pułkownik Pergericht, który stał przy sztandarze, tylko na prośbę żony i nieletnich dzieci uniknął grożącej mu kary. Dopiero w bojach przy fortecy dzięki męstwu odzyskał utraconą rangę i szacunek.

Dowództwo nad fortecą objął generał Lis.

Po kilka nieudanych ataków napad przyznał nieprzystępność fortecy.

Akt ostatni głosi:

„Zawieramy pokój na rok jeden. W posiadaniu napadu pozostają dwa główne i pięć bocznych fortów. W posiadaniu obrony pozostaje forteca”.

Tu następują podpisy i wielka pieczęć z czerwonego laku.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Książę Kruk i jego mały brat. Koszyki z sitowia. Dlaczego Ber-Leib Kruk jest księciem?

— Dlaczego nazywacie starszego Kruka księciem?

— Bo taki delikatny jak książę. Jak tylko mu co powiedzieć, zaraz się obrazi i nie chce się bawić.

— A mały Kruk jest także księciem?

— A jakże: łobuz, a nie książę.

Starszy Kruk opiekuje się bratem, oddaje mu swoją chorągiewkę, staje zawsze w jego obronie. A mały jest buńczuczny i każdego zaczepia. Starszy trzyma pelerynę, gdy mały się bawi, rano ogląda uszy, czy dobrze mydło splukane, a wieczorem ściele mu łóżko i kołdrą okrywa go troskliwie.

— Dlaczego tego urwisa tak pieścisz? — pytano starszego Kruka. — Bić się z chłopakami umie, a łóżka posłać mu się nie chce.

— Niech się bawi — mówi starszy — on mały jeszcze, ma osiem lat dopiero.

— I ty jesteś mały.

— O nie, mam już dwanaście lat, pracuję razem z ojcem w fabryce szewskiej. Ja już jestem duży.

Kiedy chłopcy pletli koszyki z sitowia, starszy Kruk chciał też zrobić koszyczek dla brata. Siedzą na schodach werandy i majstrują. Nagle któryś powiedział, że Kruk zabrał mu dwie trawki. Trawki są długie, a więc bardzo cenne. Od słowa do słowa, chłopiec nazwał Kruka złodziejem.

Kruk był niepocieszony, nawet scyzoryk do obcinania trawek nie zdołał go rozchmurzyć. Koszyka już nie plótł i kolacji jeść nie chciał.

— Jedz Kruczek, brzydko być takim złoŹnikiem. Przecież juŹ cię przeprosił — przyznał, Źe to twoje trawki.

— Ja się na niego nie gniewam.

Kruczek chci jeść — juŹ łyŹk niesie do ust.

— Nie, nie mogę. Jak mam zmartwienie, to nigdy nie jem.

— A czy ty często miewasz zmartwienia?

— Tu na kolonii nie, ale w domu często...

„Kochani, niezapomniani Rodzice! — pisał Kruk starszy do domu. — Po pierwsze donoszę Wam, Źe jest nam tu bardzo dobrze. Obym to samo usłyszał i od Was — na wieki. Nie tęsknimy do domu i co dzieŹn chodzimy do lasu. Po drugie, bawimy się dobrze, i Chaim jest grzeczny. Bdźcie zdrowi i mocni. Kłaniam się od siebie Ber-Lejby i od Chaima”.

Ktoś w Źartach nazwał Kruka księciem. Choć Źart, nie tak daleki od prawdy.

S w Źyciu dwa królestwa: jedno, królestwo rozrywek, salonów i pięknych strojów. I tu s ci księŹtami, którzy od wieków byli najbogatsi, najweselej się śmieli i najmniej pracowali. Jest drugie, wielkie królestwo — trosk, godu i znoonej pracy; jego księŹta juŹ w dzieciŹnstwie wiedz, ile funt chleba kosztuje, opiekuj się modszyŹm rodzeŹstwem i razem z rodzicami cięŹko pracuj.

Czarnecki, Kruk z kolonii s księŹtami w paŹnstwie smutnych myśli i czarnego chleba, s księŹtami z dziada i pradziada; w prastarych czasach otrzymali zaszczytne szlachectwo.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kłopoty dozorców. General koniem. Jak barany nauczyły człowieka rozumu.

Panów, którzy przeszkadzaj chopcom dobrze się bawić, jest na kolonii czterech.

Pierwszy, pan Herman, który zna najwięcej piosenek i najlepiej pilnuje, Źeby który z chopców nie zламаł nogi lub nie dostał odry: i dlatego w jego grupie nie wolno nosić kijów ani drapać się na drzewa, i dlatego nie podobała mu się zabawa w wojnę, i nie chce iść do kąpieli, kiedy wiatr wieje.

Drugi, pan Stanisław, miał ból gardła, ból dziseł, potem czkawkę, a wreszcie brał pigulki z Źelazem. Prócz tego ma trbę, na której pięknie wygrywa pobudkę. On to zrobił tor do wyścigów i przyszył aniołowi skrzydła w Źywych obrazach.

Pan Mieczysław pokazywał śmieszne malowanki z latarni czarnoksięskiej²⁹ i sztuki magiczne; prócz tego zbiera piki, które padaj na dach werandy.

A czwarty jest niezgrabny, w palanta grać nie umie, ale Źe pisze ksiŹki, więc zdaje mu się, Źe jest bardzo mdry. A wasciwie dopiero barany nauczyły go rozumu, jak się niebawem przekonamy.

Miał być i pity jeszcze, ale się na szczęście oŹenił i Źona kazała mu w domu zostać.

Tych czterech panów nazywamy w ksiŹce to dozorcami, to nauczycielami, a wasciwie musz być wszystkim po trochu.

Rano mydli się chopcom gowy pod kranem i wtedy dozorca jest kąpielowym. Kiedy wydaje się bielizn czyst i ubrania, jest się krawcem, który przymierza i pasuje. Rano dyŹurny przyszywa guziki, które się dnia poprzedniego urwały; bywa jednak, Źe po obiedzie urwie się taki guzik, bez którego grozi chopcu zgubienie garderoby; wtedy dozorca bierze igę i myśli, Źe przyjemniej czasem guzik przyszyć, niŹ ksiŹk napisać; bo uczciwie przyszyty guzik zawsze poŹytek przyniesie.

Przy obiedzie dozorca jest kelnerem, a jeŹli się zb kiwa, to go palcem wyrywa, wtedy jest dentyst.

— Komu się jeszcze zb kiwa?

— Mnie, proszę pana, mnie!

I pchaj się tacy nawet, którym zb się nie kiwa, bo nikt nie chce być gorszy od innych.

A ile razy musi dozorca zawile spory rozstrzyg.

²⁹latarnia czarnoksięska (łac. *laterna magica*) — aparat projektujcy obrazy ze szklanych przezroczy skonstruowany w XVII w. [przypis edytorski]

— Proszę pana, czy to grzech dla wróbli bułki kupować? — Bo mój dziadek rzuca wróblom okruchy, a jak mu okruchów zabraknie, to bułkę podrobi. — A Sieraczek mówi, że to grzech. — Widzisz, głupi, że nie grzech. Acha!

Jeżeli zważymy, że generał Korcarz był koniem w marszu tryumfalnym, anioł z żywych obrazów był woźnym kolonijnego sądu, a migdałowa królowa była dyżurnym przy slaniu łózek, nie będzie nas dziwiło, że dozorca tyle naraz piastuje urzędów.

A ile ma kłopotów i trosk.

— Niech panowie chłopcom powiedzą, żeby kamieni spod werandy nie wygrzebywali.

— Niech tam panowie chłopcom powiedzą, żeby kory z drzew nie odbijali.

To są skargi Józefa, który ma wielki rewolwer do pilnowania kolonii, ale że nikt na kolonię nie napadał, więc nie wiadomo, czy rewolwer strzela.

— Niech pan zobaczy, jak ta bluza wygląda.

Bluza Bromberga w samej rzeczy wygląda okropnie: ani jednego guzika, ale za to wszystkie dziurki i każda wielkości dużej tabakierki.

— Gwałtu! Trzecia szyba wybita. Co pan sekretarz napisze z Warszawy?

I skruszony dozorca smutną głowę zwiesza w pokorze przed groźną panią gospodynią.

A tu ci ktoś lasek kolonijny oczarował i mimo wszystkich trosk i kłopotów — wesoło i słonecznie. Jeśli są chmury, to uśmiechnięte, jeśli gniew, to łagodny — jakby na żarty tylko.

Bo płyną ta śliczna praca, cudna nauka. Dozorcy uczą dzieci, dzieci uczą dozorców, a wszystkich razem uczą słońce, pole zbożem złote.

Mówiłem już, że czwartej dozorcę nauczyły rozumu barany. Stało się to tak:

— Chodźcie dzieci, opowiem wam bardzo ciekawą historię — powiedział raz ten czwarty dozorca.

I wielki tłum chłopców, chyba ze stu, pobiegło, by słuchać ciekawej historii.

— Usiądźmy tu — proponuje jeden.

— Nie, pójdziemy dalej w las — decyduje dozorca, dumny, że tyłu chłopców biegnie, by go słuchać.

I tak doszli aż na skraj lasu i tu zasiedli wielkim półkołem.

— Nie pchajcie się; będę mówił głośno i wszyscy usłyszą — powiada dozorca, kontent, że chłopcy się pchają i kłócą, bo każdy chce siedzieć najbliżej, żeby najlepiej usłyszeć.

— No cicho — zaczynam. Pewnego razu...

Nagle Bromberg, który miał wszystkie dziurki i ani jednego guzika, odwrócił się, przyklęknął na jedno kolano, spojrzął w dal i tonem człowieka, który się nie myli, oznajmił:

— O, tam idą barany.

W samej rzeczy pędzono drogą stado baranów.

Barany szły w tumanach kurzu, beładnie tłocząc się, śmieszne i załęcznione. I chłopcy jak jeden mąż zerwali się, zapomniawszy o ciekawej historii i pobiegli patrzeć na barany.

Dozorca pozostał sam. Wprawdzie było mu na razie trochę nieprzyjemnie, ale od tej pory mniej wierzy w swój talent do opowiadania ciekawych historii i dzięki temu stał się skromniejszy, a więc mądrzejszy. Barany nauczyły go rozumu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kolonia Jaskinią zbrojów. Wielkie śledztwo i świadek z czworaków. Przebaczenie.

Raz jeden w ciągu sezonu musi się stać coś bardzo strasznego: dwa lata temu chłopcy rzucaли szyszkami w adwokata przysięgłego z Lublina. Adwokat jechał bryczką przez kolonię; chciał napisać do gazet, że chłopcy napadają na ludzi, ale przebaczył wreszcie. W zeszłym roku trzech chłopców poszło do kąpiel, wsiedli na łódkę i dopiero młynarz musiał łódkę do brzegu przyciągnąć. A w tym roku nadeszła wieść do kolonii, że nasi chłopcy obrzucili kamieniami przechodzącego drogą Żyda-wariata, że krew biedakowi ciurkiem z głowy leciała, aż z litości kobieta we wsi rany mu obmyła i mleka dała na drogę.

Jest pięciu podejrzanych o udział w złej sprawie.

— I jakże to było?

Ano, przechodził przez drogę kolonijnego lasu Żyd z workiem na plecach i dziurawymi butami w rękę. Żyd szedł powoli i mówił coś do siebie. Chłopcy go zobaczyli, zaczęli się śmiać, a on im język pokazał. Ktoś rzucił mu szyszkę do buta, a że but był dziurawy, szyszka wyleciała. Inny zapytał, co niesie w worku na plecach.

— W tym worku jest dziesięć razy po dziesięć tysięcy rubli — odpowiedział.

Wówczas jeden zaczął prosić, żeby mu dał rubla, kiedy taki bogaty.

— A dalej?

Dalej nic: Żyd sobie poszedł spokojnie, a oni zaczęli się bawić.

Tymczasem przybiegła zasapana kobiecina z czworaków dla złożenia zeznań.

— Jakie tam znów dwa garnce krwi, kto tam bajdy takie opowiadał? Dała mu mleka, bo zna głupiego: on tu się zawdy kręci w tych stronach. Kazała głupiemu iść na kolonię, to może i mięsa dostanie, ale nie chciał i powiedział, że chłopcy to zbóje. Co prawda, to prawda: zbóje powiedział na chłopców, że niby kamieniami rzucali. I po prawdzie, musieli rzucać, bo miał skórę na szyi zadrapaną. Wiadomo: chłopaki. Ona ma dwóch i rady dać sobie z nimi nie może, a tu jeszcze taka gromada. Młode to, ta i głupie. Niech ich panowie bardzo nie karają: dorosną, sami zmadrzeją.

Prawdą więc było, że rzucali w wariata i zadrapali mu skórę na szyi.

— Więc tak. Idzie przez drogę spokojnie sam jeden słaby i chory człowiek. On jeden, was stu pięćdziesięciu, on chory, wy zdrowi. On głodny, wy najedzeni, on smutny, wy rozbawieni. I dlatego, że on jest samotny, chory, głodny i smutny, wy w niego rzucacie kamienie? Kolonia jest jaskinią zbójów? — Nie, tak być nie mogło! Ale wy nie chcecie przecież prawdy powiedzieć!

I stały się naraz trzy rzeczy: jeden z chłopców się rozplakał, drugi oznajmił, że wszystko powie, choćby go miano za to do Warszawy odesłać, i rozległ się dzwonek wzywający na podwieczorek.

I po raz pierwszy, bez śpiewu, ze spuszczonymi smutnie głowami, szliśmy na werandę i zasiedliśmy przy stołach. I po raz pierwszy przylepki wydane zostały nie po kolei, a tak — jak się zdarzyło. Chłopcy porozumieli się oczami i nikt nie przypomniał dozorczy, że przylepki nie po kolei wydano.

Zaraz po podwieczorku zgłosili się winowajcy:

— Powiemy prawdę.

Więc rzucali szyszkami, ale nie w wariata, tylko w worek, który niósł na plecach. Rzucali w worek do celu: kto trafi? Zrobili źle, głupio i gotowi są ponieść za to karę.

— Dobrze więc: jest was czterech. Idźcie teraz na salę i obmyślcie sami, jak was ukarać.

Teraz zgłosił się i piąty:

— Ja też chcę iść na salę, proszę pana.

— Dlaczego? — zapytał dozorca, zdziwiony.

— Bo i ja rzucałem.

— Czemu wcześniej się nie przyznałeś?

— Myślałem, że nas za karę do Warszawy odeślą.

— I oni tak zapewne myśleli, a jednak się przyznali do winy. Teraz już za późno.

Wyrok, który czterej chłopcy sami na siebie wydali, głosił:

„Będziemy siedzieli trzy godziny w kozie i do końca sezonu nie dostaniemy do zabawy ani piłki, ani warcab, ani domina”.

Wyrok był bardzo surowy. Czy zgodzi się na tę karę grupa cała?

— Wiemy, jak często rzucają dzieci kije i nawet kamienie w psy, koty, konie, wiemy, jak śmieją się i drażnią pijanych i obłąkanych. Postąpili źle, ale dlatego, że nie wiedzieli: teraz już wiedzą i nigdy nic podobnego się nie powtórzy.

I grupa przewagą dwudziestu sześciu głosów przeciw pięciu uwolniła od kary tych, którzy sami na siebie surowy wydali wyrok.

Jeszcze przy kolacji było trochę ciszej niż zwykle: ale najsmutniejszy był ten piąty, który opuścił kolegów w niebezpieczeństwie i wtedy dopiero przyznał się do winy, kiedy widział, że kara nie będzie zbyt dotkliwa.

Krzywdą, Sądem,
Sprawiedliwością

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ślimak, żaba. Adamski zabił bąka. Gościnnie gospodarz. Wielka wycieczka do Orła.

Ślimak, ślimak, wysadź rogi:
Dam ci grosz na pierogi.

Przy Furtkiewiczu, który trzyma ślimaka, stoi ze dwudziestu chłopców, a stoją tak cicho, że oddychać nawet się boją. Bo Furtkiewicz zapowiedział, że ślimak na pewno rogi wysadzi, ale musi być okropnie cicho; inaczej sztuka się nie uda.

Ślimak naprawdę rogi wysunął. To było nadzwyczajne.
Rozbiegli się, bo każdy chce znaleźć ślimaka i mówić:

Ślimak, ślimak, wysadź rogi:
Dam ci grosz na pierogi.

Ktoś muszlę znalazł, ale pustą.

— Tu pewnie małe żaby mieszkają.

— Idź głupi: w twoim nosie żaby mieszkają.

Tęczowe szklarze³⁰ unoszą się nad wodą:

— O, jakie duże komary...

Tu znów wieść gruchnęła, że znaleziono żabę. Żaba ma czarne kropki — przepiękna. Wszyscy chcą widzieć czarne kropki żaby. Raszer dał żabę do trzymania Bryfmanowi, Bryfman Biedzie, a Bieda chciał ją sobie przywłaszczyć. A jakiego nurka dała żaba w wodę odzyskawszy wolność!

Mały Adamski zabił czapką na śmierć bąka. Podobno bąk rzucił się na małego Adamskiego: pewnie chciał go zjeść. Mały Adamski w nogi, bąk za nim. Mały Adamski zerwał z głowy czapkę i z całej siły ugodził nią bąka. Bąk padł martwy na trawę. Winszowano Adamskiemu zwycięstwa i oglądano ciekawie zabite zwierzę.

Chłopcy zbiegają z górki ku rzece lub staczają się po trawie, to znów pną się na górę.

Fuksbaum znalazł borówkę i dał ją koledze do obejrzenia, kolega borówkę zjadł, a dał w zamian Fuksbaumowi grzyb. Grzyb trzeba wyrzucić, bo trujący.

A obok w lesie rośnie prześliczna paproć o wielkich, rzeźbionych liściach.

Ziadamy w oczekiwaniu śniadania.

— Tam, gdzie niebo opiera się o las w dali, jest koniec świata — mówi jeden.

— Nieprawda, ziemia jest okrągła, a w Ameryce ludzie chodzą do góry nogami.

— Głupiś, ja mam wuja w Ameryce, on wcale nie chodzi do góry nogami. Tylko jak u nas jest dzień, to tam jest noc.

Już Bromberg próbuje chodzić do góry nogami, po amerykańsku, za jego przykładem idzie kilku innych. Wszyscy chcą się przekonać, czy możliwe jest, by w Ameryce ludzie chodzili do góry nogami.

Dalej dowiadujemy się, że można pisać: Bóg, Bug i buk, że drugie jest — rzeka, a trzecie drzewo; dowiadujemy się, że w sklepiku można dostać za dwa grosze domino, tylko trzeba je wyciąć i poprzyklepać na tekturkach; dowiadujemy się, że Margules ma srebrny zegarek, schowany u mamy w komodzie.

— A jakże, leżał przy srebrze.

Ojciec Margulesa dzierżawił ogrody owocowe, miał dużo gruszek, wisien i śliwek — i miał srebrny zegarek. Zaziębł się raz w nocy, kiedy pilnował ogrodu, umarł, a mama schowała zegarek, żeby dać synowi, gdy dorośnie. I uwierzyli chłopcy, że Margules ma srebrny zegarek.

Pan Herman urządza ogólne śpiewy przed śniadaniem na odpoczynek.

Śniadanie w lesie: chleb z twarogiem. Chłopcy spierają się o to, kto prędzej rozda chleb swojej grupie:

³⁰szklarz, właściwie szklarka — gatunek ważki. [przypis edytorski]

— U nas już dostał dwudziesty, a tam dopiero cztertnasty — mówią z dumą.

Pani gospodyni robi niespodziankę: zjawia się z wodą do lasu. A pić się chce, bo gorąco. Na każdego wypada pół kubka wody. Pomimo gorąca palant ma powodzenie. Byłe piłek nie pogubić na łące.

A za trzy dni duża, całodzienna wycieczka na jagody do orłowskiego lasu.

Hej parami dalej w las, dalej w las, dalej w las,
Naprzód żywo — raz dwa raz, raz dwa raz, raz!
Dalej chłopcy na jagody, na jagody, na jagody,
Musi zuchem być, kto młody, być kto młody — hej!
A kto stęka w pół drogi, w pół drogi, w pół drogi.
Że go bolą już nogi, już nogi, już!
Niech się wstydzi, bo niezdara, bo niezdara, bo niezdara.
Niech się wstydzi ten fujara, ten fujara — niech!

Przeszło trzy wiorsty³¹ iść trzeba do orłowskiego lasu. Pierwszy krótki spoczynek w brzezynie, drugi na łące przy plancie kolejowym, a trzeci na polu zasianym koniczyną.

Siedzimy koło drogi i kurz nam się sypie w śniadanie.

— Idźta dzieci na pole, bo tu kurz — mówi chłop.

— Jakże iść na pole, kiedy koniczyna zasiana — toć podepczą.

— Co tam mają po bosemu podeptać? Idźta dzieci, to moje pole, ja pozwalam...

Chłopie polski! A spójrz na tych chłopców uważnie, toż to nie dzieci przecież, a bachory żydowskie, których w mieście nie wpuszczą do żadnego ogrodu, woźnica biczem spędzi z ulicy, przechodzień zepchnie z trotuaru, a stróż miotłą zgoni z podwórza. To nie dzieci, to Moški; więc nie spędzisz ich spod wierzby przydrożnej, gdzie zasiedli, a na pole własne zapraszasz?

Chłop uśmiecha się do dzieci łagodnie, życzliwie, a dzieci ostrożnie chodzą po koniczynie, żeby dużej szkody gościnnemu nie zrobić gospodarzowi.

I rozpytuje się, co chłopcy robią w domu, w Warszawie, i objaśnia, gdzie najwięcej w lesie „jagodów”.

A „jagodów” w lesie orłowskim jak piasku i wielkie, czerwone poziomki. Myśleli chłopcy, że to maliny.

— Za godzinę obiad przywiozą.

Ech lesie orłowski, ech dzieci, ile chciałoby się powiedzieć, czego jeszcze nie wiecie, czego nie wie tylu ludzi, choć nie są już dziećmi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Brzydki Anszel. Kto pierwszy do bukietów wplatał liście. Chory Sikora.

Anszel jest bardzo błądy i bardzo brzydki — chyba najbrzydszy ze wszystkich na kolonii. Nie lubią go koledzy, nikt nie chce chodzić z nim w parze, nikt z nim nie rozmawia.

Anszel kłóci się o byle co, skarży o byle głupstwo; a jak dostanie domino, to układa je sam na stole albo zawinie w chustkę od nosa, nosi w kieszeni, sam się nie bawi i nikomu nie pożyczy.

Anszel chce dużo jeść — pewnie rodzice mu powiedzieli, że jak będzie jadł dużo, będzie zdrow. A brzydki chłopiec bardzo chce być zdrow — dlatego też nie jadł agrestu; ale nie oddał go kolegom.

Kiedy deszcz pada, tak przyjemnie zawinąć spodnie i maszerować po wodzie; choć dozorca krzyczy, do wody nie wejdzie, bo w butach. Anszel podczas deszczu owinie się w pelerynę albo prosi, że chce iść na salę.

Czasem oprze się o stół na werandzie i zaśnie, a rano najdłużej się modli i mówi, że grzech grać w piłkę w sobotę; a przecież gra w piłkę to nie praca.

Raz Anszel zebrał sobie bukiet. Bukiet był bardzo brzydki; i żółte kwiaty były brzydkie, i ułożone byle jak — ot, garść zielska.

³¹wiorsta — ros. jednostka długości, 1,0668 km. [przypis edytorski]

Grozowski także zbiera żółte kwiaty, ale zupełnie inne, i starszy Adamski wplata liście w bukiety, ale ładne liście. Pierwszy, który między kwiaty zaczął wplatać zielone liście, był Prager. Prager ma bardzo niebieskie oczy, lubi razem wiązać niezapominajki i tatarak — śmieje się nawet wtedy, gdy go ktoś skrzywdzi, a płakał raz jeden tylko, kiedy mu powiedzieli, że ojca pewnie tam ześlą, gdzie jest ciągle zimno i śnieg — i nie ma wcale kwiatów.

I Tyrman, i From, i mały Górkiewicz układają ładne bukiety, a brzydkie Anszel uzbierał same śmiecie — nie śmiecie, ale brzydkie kwiaty i liście.

Ale kiedy mu się podobały, cóż to chłopcom szkodziło? A jednak wydarli mu bukiet i rozrzucili. Anszel płakał.

Kiedy człowiekowi dorosłemu jest smutno, wie, że smutek przejdzie i znów będzie wesoło. Kiedy dziecko płacze, zdaje mu się, że już zawsze będzie płakało, że zawsze będzie nieszczęśliwe.

Anszelowi w zamian za utracony bukiet dawano kiść białego bzu, ale Anszel nie chciał; może myślał, że nie wart pięknego kwiatu, który tak ślicznie pachnie, a może bał się że biały bez znów mu przyniesie łyż.

Chłopcy nie wiedzieli, że Anszel nie urodził się złym ani kłótliwym; był naprzód tylko brzydki i słaby, nikt nie chciał się z nim bawić i dlatego przestał lubić kolegów, i wołał wyrzucić agrest, a nie dał nikomu.

Kiedy później Anszel zaczął się uśmiechać, nie był już tak brzydki; ale przyjaciela nie miał biedny chłopiec. Czasem tylko Sikora zagrał z nim w domino.

Sikora jest także chory, ale chłopcy go lubią i chętnie z nim się bawią, bo wiedzą, że Sikora jest chory, a o Anszelu myślą, że tylko błądy i kłótliwą.

Sikora dawno jest już chory. Pewnie mieszkał kiedyś w wilgotnym pokoju, pewnie bolały go bardzo nogi, pił gorzkie lekarstwo — pewnie kładli mu lód na serce, a kiedy wreszcie ból i gorączka przeszły, Sikora nie przyszedł do zdrowia.

Znów bóle i gorączka się powtórzyły, Sikora prędko — prędko oddycha i bardzo kaszle.

— Boli — mówi cicho i chce się uśmiechnąć, bo nie wierzy, że można na kolonii chorować.

Położono go do łóżka i dano bardzo gorzkie lekarstwo. Sikora zasnęła. A kiedy wieczorem chłopcy mieli wejść na salę, proszono, by sprawili się cicho, żeby chorego nie obudzić.

— To Grozowski nie będzie dziś grał na skrzypcach? — pytali ze smutkiem.

— Nie, nie można dziś grać, bo Sikora chory.

I chłopcy cichuteńko weszli na salę, cichuteńko umyli nogi ani razu nie pokłócili się o ściereczki przy wycieraniu nóg i zaraz każdy pobiegł do swego łóżka najkrótszą drogą, i biegli na palcach, chociaż byli boso, i słychać było tylko cichutenieczkie:

— Tśśś, Sikora śpi.

I było tak nie przez jeden, a przez trzy wieczory, bo dopiero na czwarty dzień wyniesiono Sikorę w łóżku na werandę, a dopiero w dziesięć dni później brał udział w wojnie, rozumie się nie jako żołnierz, ale jako chorąży polowego szpitala.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Koncerty wieczorne. Sosna staruszka. Skrzypce Grozowski i nasi śpiewacy.

Kiedy wieczorem chłopcy leżą w łóżkach, Grozowski bierze skrzypce, staje w pośrodku sali i gra na dobranoc. Nie zabrał nut, gra z pamięci, a zna wiele melodii.

„Szumią jodły na gór szczycie,
Szumią sobie w dal...”³²

³²*Szumią jodły na gór szczycie, Szumią sobie w dal...* — początek arii Jontka z IV aktu *Halki*, opery Stanisława Moniuszki (1819–1872). Słowa napisał Włodzimierz Wołski (1824–1882). [przypis edytorski]

Tak śpiewają struny skrzypiec, a na salach cicho, bo chłopcy słuchają. Tylko za otwartymi oknami sosny szeptem rozmawiają ze sobą i z niebem. Czasem ze dwóra doleci dźwięk dzwonka, który woła ludzi z pola na wieczerzę.

Sosny kolonijne nauczyły się od Grozowskiego wielu melodii i teraz śpiewają cicho, cicho — najciszej tylko zielonymi igłami, bo nie chcą skrzypcom przeszkadzać.

Na lewo od kolonii rośnie bardzo krzywa, garbata sosna-staruszka. Co ona ma zgryzot z chłopakami. To siada na nią i bujają, bo myślą, że sosna jest okrętem; to robią sobie z niej pociąg, to konia, to czatownię straży ogniowej, to fortecę. Ale sosna nie gniewa się wcale, bo wie, że wieczorem zagrają skrzypce i ukołyszają ją do snu.

A chłopcy-słuchacze mrużą powieki; ten ma oczy szeroko otwarte, ów oparł się o poduszkę i na wpół leżąc, patrzy na grającego. I każdy z nich myśli o czym innym; ale kiedy Grozowski chce już schować skrzypce, proszą, żeby grał jeszcze lub żeby powtórzył to samo.

Geszel Grozowski późno chodzi spać w Warszawie, nie pije mleka i może robić, co chce, bo mieszka z siostrą, a siostra rzadko bywa w domu, bo dogląda chorych na mieście i często na noc nawet nie wraca. I na kolonii chciał Geszel robić, co chce: późno spać chodzić i mleka nie pić. Troszkę mu się przykrzyło z początku, ale, że go chłopcy lubili, więc było mu dobrze na wsi. Chłopcy pozwalają mu długo kopać ziemię, Margules podarował mu kij, który znalazł w drodze do brzeziny, a sędziowie niesprawiedliwy wyrok wydali, kiedy Geszel Grozowski zawinił.

Wszyscy pragną być jego parą, ale Geszel nie może w parze chodzić, bo zawsze szuka żółtych kwiatów na długich łąkach.

Raz dziewczynka podarowała mu kilka gałązek jaśminu, innym razem gospodarz pozwolił mu zerwać bukiet białej gryki i czerwoną makówkę z ogrodu. Grykę włożył do miseczki z kwiatami, a czerwoną makówkę nosił, aż opadły płatki.

Prócz skrzypka mamy trzech śpiewaków. I oni śpiewają wieczorem na dobranoc chłopcom.

Śpiew płynie nisko jakby jaskółka przy samej ziemi, jakby dopiero w skrzydłach sił próbował — i nagle śmiało jednym skokiem uderza w obłoki, i długo śpiew płynie między chmurami. Potem zmęczony wraca na ziemię do ludzi, cichnie i zasypia.

— Ładny śpiew — mówią sosny — ale dlaczego słów pieśni nie rozumiemy?

— Bo pieśń jest stara, ze starych bardzo słów hebrajskich ułożona przed setkami lat.

Kiedy śpiewają Frydenson, Rozencwajg i Presman, można by pomyśleć, że nie trzech, a jeden tylko chłopiec śpiewa, tak się ich głosy razem splatają. A przecież wcale nie są do siebie podobni.

Presman jest poważny i cichy. Mało mówi, chętnie słucha, chce wiedzieć, jak zrobiony jest termometr, który pokazuje na werandzie, czy ciepło, czy można iść do kąpieli. Presman jest sędzią na kolonii, chętnie przebacza i zawsze wie, dlaczego przebaczyć należy. A przebaczyć należy, kiedy winowajca jest mały jeszcze i głupi lub biedny i zaniedbany, a nie zły.

Zupełnie inny jest Chil Rozencwajg, zawsze skrzywiony, zawsze nieszczęśliwy. To mucha mu wpadnie w oko, to komar tak go strasznie ugryzie, że wcale nie może wytrzymać; to mu się chce pić, to mu spać twardo albo woda za zimna, albo mu pelerynę zamienia. I kto by pomyślał, że ten nudziarz straszny i niedołęga jest takim wielkim śpiewakiem!

A trzeci nasz śpiewak ma najpiękniejszy głos, najbiedniejszych rodziców i najwięcej odwagi w sercu. Miły śpiewaku, niesiesz w życie swą gorącą pieśń i jasną duszę. Jeżeli będziesz dorożkarzem, jak twój brat, wiem z góry, że nie będziesz konia głodem morzył, nie będziesz batem poganiał do pracy nad siły, choć będzie to nie twój, a koń gospodarski...

Sława wieczornych koncertów kolonijnych rozeszła się daleko po świecie. Wiedzą o nich czworaki i dwór, i wieś. Więc i pod oknami nie brak słuchaczy. Słucha Józef i stary Abram-pachciarz³³, i parobcy, i dziewczyny, i sosna-staruszka.

— Na dziś dosyć. Dobranoc, chłopcy.

— Dobranoc!

³³pachciarz — dzierżawca. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mały dyżurny chce, by go szanowano — i co z tego wynikło. niesprawiedliwy wyrok i historia o brodzie, mydle i brzytwie.

Kiedy Geszel Grozowski zawinił, sąd wydał niesprawiedliwy wyrok. A było to tak.

Mały Adamski, jak wiadomo, jest ręcznikowym dyżurnym: pilnuje, aby na każdym łóżku ręcznik wisił na środku poręczy, a przed obiadem wynosi na werandę trzy ręczniki do obcierania rąk. Mały Adamski zasługuje więc na szacunek, bo jest dyżurnym; a jednak chłopcy nie chcą go szanować, ten i ów umyślnie krzywo ręcznik powiesi, żeby mały się gniewał i miał więcej roboty — albo nie obmywszy dobrze rąk z piasku, już łapie za ręcznik i brudzi.

— Nikt nie chce mnie słuchać — żali się mały dyżurny.

Raz w taki sposób postanowił zyskać szacunek: opowiedział bardzo ciekawą historię, że był z ojcem u felczera i widział, jak tam smarowano panom mydłem brody, a potem golono brzytwami.

Starsi chłopcy bardzo się temu dziwili.

— Nie, to być nie może — mówili — ty nie byłeś z ojcem u felczera.

— Jak mamę kocham, że byłem.

— Wreszcie, może byłeś, ale nie widziałeś, że smarowano tam mydłem brody.

— Właśnie, że widziałem.

— Ale brzytwą ich nie golono.

Mały Adamski zapewniał, że wszystko, co mówi, jest szczerą prawdą, ale chłopcy nie chcieli wierzyć, śmiali się z niego, dalej go wcale nie szanowali i kpili sobie z felczera, brody, mydła i brzytwy.

I oto razu pewnego mały Adamski zauważył, że Grozowski zaraz po obiedzie poszedł do studni i napił się wody. A Grozowskiemu nie wolno po obiedzie pić wody.

— Poczekaj, powiem panu, że wodę piłeś.

Mały Adamski myślał, że Grozowski bardzo się przestraszy, zacznie go prosić, żeby nic nie mówił, i będzie go szanował. A gdyby go szanował Grozowski, na pewno już cała kolonia miałaby dla niego szacunek.

Ale Grozowski, zamiast prosić, zaczął go okładać płócienną czapką, a starszego Adamskiego, który przybiegł na pomoc bratu, przewrócił na ziemię i uraził w palec. (Starszy Adamski ma jeden palec przewiązany szmatką, bo boli go już dawno i nigdy się pewnie nie zagoi).

O wszystkim tym dowiedział się prokurator i oddał pod sąd Grozowskiego; a sąd wydał niesprawiedliwy wyrok, bo uwolnił Grozowskiego od wszelkiej kary.

— Jak mogliście wydać taki stronny³⁴ wyrok? — pytał się prokurator zdziwiony.

— Bo on jest naszym kolegą — odpowiedzieli sędziowie.

— Mogliście więc nie chcieć go sądzić, wybrano by wówczas innych sędziów dla tej sprawy.

Sam Grozowski wreszcie zażądał, by sprawę jego raz jeszcze rozpatrzyć i by sądzili go ciż sami sędziowie.

— Panowie sędziowie — zaczął prokurator swą długą mowę — macie przed sobą trudne zadanie. Z waszego wyroku ma być ukarany chłopiec, który cieszy się waszą przyjaźnią. Może po raz drugi zechcecie go uniewinnić? Pamiętajcie więc, że niesprawiedliwy wyrok niszczy zaufanie do sądu. Pomyślcie, co powiedzą ci, którzy przed nieuczciwymi sędziami stawać będą musieli. Powiedzą: „Nie wierzymy im, bo jeśli kto ma skrzypace i ładnie gra, wolno mu robić to, czego się innym zabrania”. Przypominam, że Grozowski dwa dni temu wyrwał piłkę chłopcu, wczoraj nasypał Szatkownikowi piasku za koszulę, a dziś skrzywdził braci Adamskich. Nie oni, a ja go oskarżam, a oskarżam na żądanie samego Grozowskiego. Grozowskiemu jest przykro, żeście dla niego poświęcili własne dobre imię, przykro, bo go teraz wszyscy mogą posądzić, że przestraszył się kary i sam was

³⁴stronny (daw.) — stronniczy. [przypis edytorski]

o niesprawiedliwy wyrok poprosił. Omyliliście się i zadaniem waszym omyłkę tę naprawić. Raz jeszcze powtarzam: niewielka kara miłszą będzie dla oskarżonego niż kłamliwe usprawiedliwienie jego przewinień.

Tym razem wyrok głosił: dziesięć minut kozy.

Grozowski na dowód, że się nie gniewa, obiecał dnia tego długo grać wieczorem na skrzypcach; a że sam w poczuciu własnej winy bez obrazy i bez gniewu odsiedział swych dziesięć minut zamknięcia, był to jego najpiękniejszy koncert kolonijny.

Mały Adamski pogodził się wreszcie z myślą, że jest zbyt młody, by starsi chłopcy go szanowali, i odtąd bawi się już tylko z malcami, którym historia o brodach smarowanych mydłem bardzo się podobała.

Mały Adamski zrozumiał, że lepiej wśród równych sobie mieć poważanie, niż sięgać zbyt wysoko i cierpieć upokorzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Najpiękniejsza na świecie zabawa i najpotężniejsza pierniczkowa siła. Turczynka opowiada bajki. Żywe obrazy.

Ach! Cóż to będzie za zabawa.

Zabawa taka nadzwyczajna, jakiej jeszcze na świecie nie było.

Odbędzie się za tydzień — za sześć dni; już za pięć tylko — za cztery — za trzy — pojutrze już — jutro!

Tor wyścigowy równo wysypany żółtym piaskiem. Po każdej stronie toru chorągiewki niebieskie, czerwone i białe.

Na werandzie kurtyna z kołder, a zrobiona tak mądrze, że jeśli pociągnąć za sznurek, sama się podnosi — zupełnie jak w prawdziwym teatrze.

Żeby tylko deszcz nie padał, żeby kurtyny nie ukradli, żeby nie uciekł las razem z torem wyścigowym, żeby się nie stało coś takiego, co przeszkodzi w zabawie.

Ale nic się złego nie stało. Po pierwszym śniadaniu kąpiel, po drugim zaczęły się wyścigi.

Jeden pan daje hasło do biegu, drugi notuje na mecie, kto pierwszy dobiegł do celu.

Każda czwórka, zanim puści się w zapasy, zaciera dłonie, a niektórzy nawet plują w ręce, żeby bieć prędzej.

Potem wyścigi z zawiązanymi oczami i te są najśmieszniejsze. Każdy chce być pierwszy, a boi się, że wpadnie na drzewo.

Później wyścigi z przeszkodami, wreszcie przeciąganie sznura. Dziesięciu chłopców ciągnie sznur w prawą, dziesięciu w lewą stronę. A ciągną tak mocno, że kiedy zwyciężeni, nie mogąc już utrzymać sznura, puszczają go nagle, wszyscy zwycięzcy z wielkiego rozmachu przewracają się na ziemię.

— Patrz, jak ja ciągnąłem — i pokazują czerwone ręce ze śladami odcisniętej liny.

Czterej chłopcy najdzielniejsi w biegu raz jeszcze się ścigają; pierwszy z nich będzie królem, drugi królową, trzeci i czwarty paziami.

Szkoda, że przez okno nie można zobaczyć, jak się królewska para przebiera, bo okno pani gospodyni zasłoniła chustką. Wiadomo jednak, że nawet paziowie mieć będą korony, a król będzie miał szablę i trąbę pana Stanisława, i będzie wolno mu trąbić, ile tylko zapragnie.

Przed werandą stoi tron, niezmiernie piękny, przybrany w koldry i chorągiewki.

— Wiwat!

Król prowadzi pod rękę królową; królowa ma suknię czerwoną w białe kropki i białą bluzkę, którą pożyczyła praczka. Paziowie niosą ogon sukni. Złote korony królewskiej pary lśnią w słońcu.

Marsz tryumfalny rozpoczyna konnica i tu właśnie generał Korcarz, bohaterski obrońca kolonijnej fortecy, musi być koniem.

Zmienne zaiste są koleje losu!

Za konnicą kroczy piechota, wszyscy salutują przed królem; pan Herman bębni na kuble, orkiestra bije w pokrywy garnków, król przez wdzięczność za okazane mu honory trąbi z całej siły, a potem zaprasza wszystkich, zarówno konie, jak i ludzi, na werandę,

tamże przenosi się tron i pan Mieczysław ma honor pokazywać sztuki magiczne królewskiej parze i zaproszonym gościom.

Kurtyna idzie w górę.

Dwie karty pokazują się i znikają w czarnoksiężskim pudełku; przecięty nożem sznurek zrasta się za dotknięciem czarodziejskiej laseczki; czerwona kula znika z czarnoksiężskiego kieliszka i znajduje się za kołnierzem pazia. Ale najciekawsza jest ostatnia sztuka.

Królowa własnoręcznie włożyła do drewnianego pudełka dwa miedziane grosze. Pudełko przykryto chusteczką i pan Mieczysław powiedział zaklęcie:

— Fokus, pokus, czarna siła, zamień miedź na srebro.

Ale czarna siła była za słaba.

— Czarna siła, weź do pomocy białą siłę — i zamieńcie miedź na srebro.

Ale czarna i biała siła były za słabe.

I zielona, czerwona, niebieska siły były za słabe, żeby taką sztukę wielką zrobić. Aż ktoś rzucił myśl, żeby wezwać pierniczkową siłę.

— Fokus, pokus, weźcie do pomocy pierniczkową siłę...

Dwa grosze znikły, a w pudełku leżała srebrna czterdziestówka.

Wszyscy się zdumiali, a królowa kiwała głową w prawą i lewą stronę, a król na znak zachwyty pogrzążył palec w otwór nosa.

Jeden tylko Wolberg, który umie wycinać łódki z kory, więc myśli, że jest najmądrzejszy, zawołał:

— Ja wiem, pan Mieczysław miał 40 groszy w rękawie.

Pan Mieczysław zawinał wysoko rękawy i sztukę raz jeszcze na żądanie króla powtórzył...

Kurtyna opuściła się jak w teatrze, rozebrano tron, bo potrzebny był pod kotły z zupą do obiadu. Po obiedzie dalszy ciąg zabawy...

Koncert.

Najprzód odczytano specjalny numer gazety „Michałówki”, potem Geszel grał na skrzypcach, potem był śpiew bardzo ładny, potem Turczynka opowiedziała bajki: jedną bajkę bardzo straszną, a drugą taką śmieszna, że sam król nawet śmiać się raczył; wreszcie Ojzer Płocki deklamował swoje własne wiersze. Jeżeli w koncercie brakowało fortepianu, to tylko dlatego, że fortepianu na kolonii nie ma, a gdyby nawet był, to nikt na nim grać nie potrafi. Ale i tak koncert był bardzo wspaniały, bo Turczynka opowiadała bajki.

Turczynką jest Aron Najmajster — ma na głowie wielki półksiężyc, w uszach półksiężyce, siedzi na dywanie po turecku, a obok niego na stoliku pali się świeca i odbija się w lustrze, i można nawet myśleć, że palą się dwie świece.

Po koncercie chłopcy pobiegli do lasu, żeby odpocząć po zabawie, opowiadać sobie wzajem, co widzieli i słyszeli, i co będzie po kolacji. Bo po kolacji będą jeszcze żywe obrazy, a że nikt nie wie, co znaczy żywe obrazy, więc na pewno jest to coś okropnie ciekawego.

Po kolacji ciemno się zrobiło. Siedzą wszyscy na ławkach jak w teatrze. Na pierwszych ławkach malcy, na dalszych — starsi, a reszta na stołach.

Kurtyna idzie w górę, ale jeszcze nic nie widać. Dopiero kiedy czerwony bengalski ogień³⁵ oświetlił obraz, wszyscy doskonale wszystko widzieli.

Pierwszy obraz:

Siedzi dziewczynka bosa i sprzedaje zapalki.³⁶ A nad nią Zima z długą siwą brodą, z workiem, przewieszonym przez ramię. Zima wyjmuje z worka garść śniegu i sypie na dziewczynę biały śnieg. Dziewczynka zasypia, a Zima pokrywa ją śniegiem. Biedna dziewczynka już nie będzie sprzedawała zapalek.

Drugi żywy obraz będzie jeszcze piękniejszy.

Na scenie jest dużo rzemieślników. Siedzi szewc, kowal, szwaczka, ogrodnik, stolarz, przekupka. Na scenie ciemno jeszcze. Ale oto zjawia się na wzniesieniu jasny Dzień z czerwonymi skrzydłami i pochodnią w dłoni i budzi wszystkich do pracy. Stolarz piłuje, kowal bije młotem, szwaczka szyje, ogrodnik suche gałęzie obcina, a chłopcy widze śpiewają:

³⁵bengalski ogień — fajerwerki. [przypis edytorski]

³⁶Siedzi dziewczynka bosa i sprzedaje zapalki — nawiązanie do baśni Hansa Christiana Andersena (1805–1875) *Dziewczynka z zapalkami*. [przypis edytorski]

Stary kowal młotem wali:
Buch, buch, buch!
Ledwie brody nie osmali,
Zuch, zuch, zuch!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Stopnie ze sprawowania. Pies Grinbaumowi przebacza, a Bromberg dostaje piątkę.

Raz na tydzień stawia dozorca stopnie ze sprawowania. Jest to najtrudniejsza na kolonii praca.

Co innego nauczyciel w klasie; ten wie, kto mu przeszkadza, podpowiada albo robi „sery”³⁷ kolegom. Ale w lesie, na wsi, chłopiec dużo niekiedy nabroi, a dozorca nic o tym może nie wiedzieć. Dlatego więc najlepiej, żeby każdy sam mówił, na ile zasłużył, bo każdy wie dokładnie, co zbroił.

— Furtkiewicz, ile ci ze sprawowania postawić?

— Czwórkę, proszę pana.

— Dlaczego czwórkę, a nie piątkę? — pyta się dozorca.

— Bo piliem wodę ze studni i spóźniłem się na obiad.

— Eee, proszę pana — czwórkę za takie głupstwo? — wołają ci wszyscy, którzy także pili wodę ze studni i spóźnili się na obiad.

— Piątkę, proszę pana, piątkę.

A Tyrman uśmiecha się dobrym, łagodnym uśmiechem i kiedy wszyscy ucichli, dodaje poważnie:

— On się poprawi, on już będzie grzeczny.

Przy tym Furtkiewicz był dyżurnym krawcem w ubiegłym tygodniu i przyszył dużo guzików. Pił wodę, to prawda, ale mu się piątka należy...

— Frydman Rubin, a tobie ile postawić?

Zrobiło się tak cicho, jak w środę przy jajecznicy. Biedny Rubin, przez cały tydzień tak się dobrze sprawował, z nikim się nie bił ani razu, co przecież jest rzeczą wcale niełatwą — i akurat przed samymi stopniami ktoś zawołał na niego: „Cygan”, Rubin chciał go za to w kark uderzyć, ale nie trafił i uderzył w nos, a wiadomo przecież, jak łatwo z nosa krew leci. Biedny Rubin, tak mu się nie powiodło.

— Może ci nic nie postawić, a jak będziesz się dobrze w przyszłym tygodniu sprawował, to od razu dwie piątki dostaniesz?

— Nie chcę — mówi Rubin, bo myśli, że lepsza czwórka w ręku niż dwie piątki na sęku.

— A dlaczego wołał na niego: „Cygan”? — wtrąca Furtkiewicz, który wie, jak trudno nie dać w kark za „Cygana”. Furtkiewicz jest rudy i ma z tego powodu liczne starcia z kolegami.

Rada w radę: Frydman dostaje piątkę, boć i Tyrman twierdzi stanowczo:

— Proszę pana, on się już nie będzie bił, on się poprawi.

I Edelbauma losy długo się ważyły, bo nudzi, włazi ciągle do sypialni, wtrąca się do wszystkiego i znosi okropne nowiny:

— Proszę pana, chłopaki Fromowi urwali nogę.

— Przynieś tę nogę, to się ją Fromowi przyklei — mówi bardzo zmartwiony dozorca. A co się okazuje? Fromowi nogi nie urwali wcale, tylko się przewrócił i płacze. Innym razem przyniósł wiadomość, że Cyganka ukradła dwóch chłopców, tymczasem nie była to wcale Cyganka, a kobieta polska, chłopcy byli ze wsi, wcale nie z kolonii — i szli sobie z kobietą przez łąkę, a nikt kraść ich nie myślał.

Całe szczęście, że Edelbaum zbiera dużo szkła w lesie i przed werandą, i dzięki niemu chłopcy bosych nóg nie kaleczą. Inaczej nie dostałby piątki ze sprawowania.

³⁷robić sery (gw.) — mocno przyciskać kogoś do czegoś, np. szkolnego kolegę do ściany. [przypis edytorski]

Każdy ma swoje zasługi: Flekier dobrze prowadzi narodowości³⁸, Kleinman siedzi przy obiedzie między dwoma łobuzami i dlatego nie ma bijatyk przy stole. Ejno oddał brzydkiemu Anszelowi swoją pelerynę, kiedy było zimno — a że nie ma na świecie człowieka bez wad i każdemu trafić się może, że coś złego zrobi, więc też liczba piątek ze sprawowania rośnie jak na drożdżach.

Jakby to było ślicznie, gdyby cała grupa mogła ujrzyć piątki. Ale jest to chyba niemożliwe.

Goldsztern powiedział Elwingowi:

— Żeby byłeś ślepy.

Już piątka wisiała na włosku, szczęście, że Elwing przebaczył, a to tym chętniej, że sam przecież zaczął — bo radził, jak ma grać przeciwnik Goldszterna przy warcabach.

Zysbrenerowi trzeba poprawić stopień za ubiegły tydzień. Dostał czwórkę, bo podobno podstawił chłopcu nogę; chłopiec się przewrócił i rozbił kolano. Dopiero później się okazało, że Zysbrenier jest miłym i cichym dzieckiem, że w Warszawie razem z matką robi kwiaty do sklepu, a młodszemu rodzeństwu wieczorami czytuje książki z czytelni bezpłatnej, i to nie bajki, a prawdziwe historie o Krzysztofie Kolumbie³⁹, który odkrył Amerykę, o Gutenbergu⁴⁰, który druk wynalazł. Taki chłopiec nie mógł przecież namyślnie nogi podstawić. I w samej rzeczy, ten co stłukł kolano, biegł prędko i sam się przewrócił, bo chciał Zysbreniera ominąć.

— Dlaczego nam nie powiedziałaś? — zapytano ze zdziwieniem. — Mogłeś zażądać piątki ze sprawowania jak inni.

— Pan mnie jeszcze nie znał wtedy, mógł pan myśleć, że kłamię — to już wołałem mieć czwórkę.

Widzicie teraz, jak trudno na kolonii stopnie ze sprawowania sprawiedliwie stawiać.

Pozostało już dwóch tylko: Bromberg i brat Borucha Grinbauma, Mordka. Jeżeli ci dwaj dostaną po piątce, to stanie się tak, jak przepowiadał dozorca: że cała grupa będzie wzorowa.

Znów wielka cisza zaległa.

— Grinbaum Mordka. Niech brat za niego odpowiada. Ile mu postawić?

— Proszę pana — mówi brat Mordki — ja bym bardzo chciał, żeby on miał piątkę, mnie się serce kraje, jak widzę, że on taki łobuz.

Co z Mordką zrobić? Wszyscy mu przebaczyli, nawet dozorca przebaczył — ale Mordka rzucał kamieniami w psa. Jak się dowiedzieć, czy i pies mu przebacza?

Pies jest na łańcuchu w budzie. Jeżeli Mordka nie boi się, podejdzie do psa, da mu mięsa i pies mięso weźmie, to znaczyć będzie, że się nie gniewa.

Idziemy. Szczęśliwy to dzień, że tak się wszystko udaje. Pies jest w doskonałym humorze. Już z daleka, macha nam ogonem na przywitanie. Mięso zjadł, oblizał się dwa razy, a w oczach jego wyczytać było można, iż pocziwina tak dalece przebaczył wyrządzoną mu przez Mordkę zniewagę, że trzy takie porcje mięsa zjadłby z ochotą.

Mordka więc uzyskał prawo do piątki. Pozostaje jeden jeszcze — Bromberg.

— Powiedz Bromberg, co złego zrobiłeś?

— Czepiałem się furi i na konia włożyłem.

— Co jeszcze?

— Po dachu werandy chodziłem.

— Jeszcze?

— Jak znalazłem w zupie kolkę pieprzu, to oblizałem i wrzuciłem Raszterowi do jego zupy.

³⁸gra w narodowości — gra w piłkę, podczas której każdy gracz wybiera określoną narodowość, prowadzący wymienia którąś z nich, a gracz, który ją przybrał, chwytając piłkę i próbuje trafić nią w uciekających pozostałych uczestników zabawy. [przypis edytorski]

³⁹Kolumb, Krzysztof, właśc. *Cristoforo Colombo* (1451–1506) — żeglarz i nawigator nieustalonej narodowości, kapitan czterech wypraw pod flagami Katalonii i Hiszpanii, podczas których dotarł do wybrzeży nieznannej wówczas w Europie Ameryki i odkrył m.in. wyspy Bahama, Kuba, Haiti, Gwadelupę oraz Jamajkę. Popularna polska biografia odkrywcy została napisana przez Antoniego Potockiego (1867–1939): *O Krzysztofie Kolumbie i odkryciu Ameryki*, 1899. [przypis edytorski]

⁴⁰Gutenberg, Jan właśc. *Johannes Gensfleisch zur Laden zum Gutenberg* (1398–1468) — niem. drukarz, wynalazca druku. Popularna polska biografia została napisana przez Antoniego Potockiego (1867–1939): *O Janie Gutenbergu i o tym, jak ludzie nauczyli się pisać i drukować*, 1893. [przypis edytorski]

— Jeszcze?
 — Zabrałem pelerynę Biedzie i naląłem mleko na stół, bo chciałem, żeby i stół się napił mleka.
 — Co jeszcze?
 Bromberg myśli:
 — Odkręciłem kran w kąpielowym pokoju i na Weinsteina wołałem: „serdelek”.
 — Jeszcze?
 — Skrobałem widelcem po stole i nie chciałem łózka dobrze posłać. I Sieraczka uderzyłem szelkami. I chustkę do nosa zgubiłem.
 — Jeszcze co?
 — Nie chciałem chleba, tylko przylepkę. I Fiszbina wrzuciłem do dołu od kartofli.
 — A ile razy się biłeś?
 — Nie pamiętam.
 — A o sośnie nic jeszcze nie mówiłeś.
 — Uhm, sosnę złamałem.
 Chłopcy słuchają ze smutkiem, a Bromberg się uśmiecha i nic sobie z tego nie robi.
 — Tyrman, jak ci się zdaje: ile mu postawić?
 — On już będzie grzeczny — mówi Tyrman.
 — Więc ile mu postawić?
 — Nie wiem — mówi Tyrman, chociaż widać, że i on, i cała grupa bardzo chcą, żeby i Brombergowi postawić piątkę. Tylko nikt nie odważa się pierwszy to powiedzieć.
 — Oj, źle, źle... Czarnecki, powiedz ty, ile Brombergowi postawić ze sprawowania.
 Czarnecki jest przyjacielem Chaima Bromberga, więc wszystkie oczy zwracają się ku Czarneckiemu.

— No powiedz, ile?
 — Piątkę — powiada Czarnecki i dwie łzy staczają mu się po twarzy.
 — Piątkę, proszę pana, piątkę — wołają chłopcy, a Tyrman dodaje:
 — On się poprawi, on już będzie grzeczny.
 I w rzeczy samej, Bromberg się poprawił. Aż do wieczora chodził spokojnie i poważnie, ale znać było, że mu nieswojo. Tak chodził w swojej piątce ze sprawowania, jak w ciasnych butach — aż się dozorca obawiał, by się Bromberg z grzeczności nie rozchorował.

Dopiero nazajutrz pobił się z Biedą, a po obiedzie powiedział stanowczo:

— Proszę pana, ja już nie chcę piątki.

— Dlaczego?

— Bo mi się znudziła...

Kiedy przyjechaliśmy do Warszawy, pytała się matka Bromberga na dworcu:

— Jak się mój Chaim sprawował?

— Dobrze — odpowiedział dozorca — tylko zanadto cichy.

Matka spojrzała na Chaima i na dozorcę zdumiona, a widząc, że obaj się śmieją, i sama się roześmiała.

— Myślałam, że naprawdę pan tak mówi, że go chyba tam kto zaczarował.

I wdzięczna była, że się nie gniewano na jej urwisa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ojzer-poeta. Wiersz o szewcu, o kowalu i o powrocie do domu.

Ojzer Płocki deklamował na zabawie własne swoje wiersze.

Dziwnym się chłopcom zdawało, że można wiersze pisać nie z książki, a z głowy.

Właściwie Ojzer pisze nie z głowy, a z tego, co widział i słyszał.

Na przykład wiersz o szewcu.

Biedny szewc długo nie miał żadnej roboty, więc nic nie zarabiał. Chodził, starał się, szukał, nic nie mógł znaleźć. Wreszcie dostał obstalunek, tak bardzo się cieszył. Ale do wykonania obstalunku trzeba mieć skórę na buty, skórę trzeba kupić, a skąd wziąć pieniądze na kupno skóry? Chodził szewc do znajomych, prosił o pożyczkę. Jedni nie chcieli, a drudzy nie mogli pożyczyć, bo sami są biedni i pieniędzy nie mają. Poszedł

Bieda

prosić o zaliczkę na kupno skóry, ale mu nie dano. I szewc nie mógł wykonać obstalunku — biedny, biedny, biedny.

Ojzer zna tego szewca, bo razem z nim mieszkają. Ojzer pamięta, jak chodził bez zajęcia, jak otrzymał robotę, jak starał się o pieniądze, których nie dostał. Ojzer pamięta wszystko i wiersz o tym napisał...

Drugi wiersz — o kowalu, który dzień i noc bije młotem twarde żelazo, a młot śpiewa mu o szczęściu ludzi.

I kowała tego widział Ojzer, kiedyśmy szli do wodnego młyna, a po drodze wstąpili do kuźni; kowal bił młotem w rozpalone żelazo, aby pokazać chłopcom, jak się robi podkowy. Wszyscy widzieli, ale jeden tylko Ojzer wiersz napisał; on jeden w huku młota usłyszał melodię, śpiew o szczęściu ludzi, bo on jeden był poetą tylko...

Napisał Ojzer wiersz o lesie, w którym człowiek chory staje się zdrow i mocny; ale nie wszyscy mogą mieszkać w lesie i dlatego są bladzi i smutni.

O kim myślał wówczas mały poeta, gdy ten wiersz pisał?

Zapewne o ojcu.

Ojciec Ojzera robi skakanki i lejce, paski i ozdoby do sukien. Gdy był zdrow, dużo zarabiał, córkę do szkoły posyłał. Ale teraz kaszle, a do lasu, gdzie powróciłby do zdrowia, wyjechać nie może.

Dzisiaj jeszcze często wspominają dobre dawne czasy, gdy córka chodziła do szkoły, gdzie pani była dobra, bardzo dobra, a dzieci tak ją kochały. Teraz ojciec chory, pani szkołę zamknęła — wyjechała daleko do Ameryki i tam ją dzieci zapewne kochają.

Ach, jak Ojzer chciałby się uczyć.

Ojzer nie lubi hałaśliwych zabaw, ale chętnie słucha ciekawych opowieści — wie, że dozorca go kocha, ale nie poprosi nigdy ani o chorągiewkę, ani o piłkę, ani o ładny widelec, ani o przylepkę. Ojciec Ojzera, on sam, siostra starsza, mama — dumni są, prosić nie lubią, nie chcą.

Kiedy mała siostrzyczka Ojzera leżała w szpitalu, chcieli co dzień ją odwiedzać.

— Nie można; tylko trzy razy na tydzień wolno przychodzić do chorych dzieci.

— Jeżeli nie można częściej, to trudno. Widocznie tak być powinno, zapewne tak jest lepiej.

Raz Ojzer przyszedł do szpitala i przyniósł dla siostry garstkę winogron. Nie przyniósł karmelków, bo mała była chora i jeść jej karmelków nie było wolno.

Stoi Ojzer koło łóżeczka siostry i nic nie mówi.

— Powiedz jej coś, przywitaj się z siostrą.

Ojzerowi z oczu łzy płynęły...

Kiedy dzień powrotu do Warszawy się zbliżał, cieszyli się chłopcy, że znów rodziców i rodzeństwo zobaczą i opowiedzą wszystko: co robili na wsi, jak się kąpali, bawili, bronili fortecy — Ojzer wówczas napisał ostatni swój wiersz na kolonii:

„Ciesz się dzieci, że wracają do domu, aby zieleń lasu zamienić na wilgotne ściany. Kwiaty śmieją się do słońca, ale czeka je zima, gdy zwiędną”.

Najchętniej pisze Ojzer o lecie, kiedy jest ciepło, słońce świeci i kwiaty kwitną. Zimy nie lubi, bo smutna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Niespodzianka. Ostatni zachód słońca i ostatnia bajka.

Chłopcy proszą, żeby nie chodzić na prawy skraj lasu, bo tam będzie wieczorem niespodzianka. Noszą coś, układają, a jak już wszystko będzie gotowe, zawołają sami. Roboty koło niespodzianki musi być dużo, bo gotowa będzie dopiero koło wieczora. Aż dwie mioty musiał im Józef pożyczyć; za to pozwolili mu wcześniej przyjrzeć się niespodziance, tylko żeby panom nic nie mówił.

Jest to ostatni dzień pobytu na kolonii — i mówi się już teraz tylko o Warszawie.

Topcio zostawił gołębie w Warszawie, czy aby nie uciekły. Szydłowskiego mama była chora, czy też jest już zdrowa? Topcio chwali się, że umie dym z papierosa nosem puszczać i chleb rzucać wysoko, i łapać go prosto w usta. Pływak umie nogę na głowę zakładać

Bieda, Nauczycielka

i płuc daleko przez zęby, Frydman gwizdże na jednym palcu i powiekę zawija, co bardzo strasznie wygląda.

Wszystko jest dziś ostatnie: i kąpiel ostatnia, i obiad ostatni. Dużo kaszy zostaje na talerzach, nawet nie wszystko mleko wypite; jakże jeść kaszę, kiedy się jutro jedzie do domu.

Kukułka od piątej rano kuka na pożegnanie:

— Kuku — żegnajcie dzieci — kuku, nie umiem pięknie śpiewać, a żegnam was, tak jak potrafię — krótko i serdecznie.

Już przebrali się chłopcy we własne ubrania i wierzyć się nie chce, że Tyrman, Frydenson, Czarnecki chodzą w długich chałatach⁴¹. Mały Soból ma ładne ubranko i po dwie złote gwiazdki na kołnierzyku; tak go siostra krawcowa wystroiła w drogę.

Chłopcy czyszczą obuwie, żeby ładnie wyglądać na dworcu.

Dobre, kochane dzieci — tyle was tu było, a choć broiłyście ciągle — nie zrobiłyście nic prawdziwie złego. Jak miłe jesteście w tej zgodnej krzątaniu, by pożegnać nas niespodzianką.

— Proszę pana, już.

— Proszę pana, niespodzianka gotowa.

Na prawym skraju lasu, gdzie codziennie żegnaliśmy piękne zachody słońca — chłopcy zbudowali wielkie gniazdo z gałęzi, kamieni i piasku, obłożyli igłami z sosen, miękko wystłali mchem i ubrali kwiatami.

— Gniazdo bocianie.

— Nie gniazdo, a łoża — mówi jeden, który zna teatr, bo ojciec jego jest tokarzem i miał kiedyś w teatrze robotę.

Ostatni zachód słońca.

Słońce straciło promienie, wąska chmurka przekrajała kulę słoneczną na dwie połowy.

— Ostatni zachód słońca — mówią chłopcy.

Jutro już będą w Warszawie, a tam słońce nie zachodzi wcale.

W Warszawie nie ma zachodu słońca, tylko o zmierzchu pokazuje się na ulicy człowiek z długim kijem i zapala brzydkie żółte latarnie. Człowiek ten przechodzi z jednej strony na drugą, jest zawsze ciemno i biednie ubrany, a twarzy jego w cieniu nie widać. On w mieście zamienia dzień na noc.

A w Michałowce jasne słońce w purpurowej szacie dzień gasi i noc zapala. Słońce opuszcza się coraz niżej, zanurza pod ziemię i znika, skrawek po skrawku.

— Już — mówią jedni.

— Nie jeszcze.

Już gwiazdą tylko, już iskrą małą świeci.

Tęgo ostatniego wieczora o ostatnim zachodzie urodziła się ostatnia bajka kolonijna — dziwna bajka i niedokończona.

„A może nie wracać do Warszawy? Może ustawić się parami, wziąć chorągiewki, zaśpiewać marsza i ruszyć w drogę?”

— Dokąd?

— Do Słońca.

Długo iść będzie trzeba. Ale cóż to szkodzi? Sypiać będziemy w polu, a na życie zarabiać. W jednej wsi Geszel zagra na skrzypkach i dadzą nam mleka. W drugiej wsi Ojzer powie wiersz lub Aron bajkę ciekawą — i dadzą nam chleba. Gdzie indziej znów zaśpiewamy albo w pracy w polu pomożemy...

Dla kulawego Wajnraucha zrobimy wózek z desek i gdy się zmęczy, będziemy go wieźli.

Będziemy szli długo, długo — będziemy szli i szli, i szli...”

— No i co? — niecierpliwą się chłopcy.

Ale rozległ się nagle dzwonek wzywający na ostatnią kolację i bajka została niedokończona.

A nazajutrz byliśmy już w drodze do Warszawy.

⁴¹ *chałata* — długie, luźne okrycie, element tradycyjnego stroju żydowskiego w Europie wschodniej. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/korczak-moski-joski-i-srule/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, Moški, Joski i Srule, J. Mortkowicz, Warszawa 1910.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska, Biuro Rzecznika Praw Dziecka

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Biurem Rzecznika Praw Dziecka.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Katarzyna Czech, Paulina Choromańska, Sylwia Głuszak, Wojciech Kowtwa.

Okładka na podstawie: [rob zand@Flickr](https://www.flickr.com/photos/robzand/), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0390-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.